Nr 33 (1595). Warszawa, 19 sierpnia 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Na zamku Rapperswilskim.

Zbiorowego nacisku opinji całego kraju trzeba było, aby doprowadzić do skutku *Zjazd* mający na celu rewizję gospodarki Muzeum Narodowego w Rapperswilu oraz sprawdzenie zbiorów tamtejszych, będących świadectwem naszej przeszłości i naszej narodowej kultury. Zdawałoby się, że *Zarząd*, w którego rękach spoczywa piecza nad ową skarbnicą pamiątek, dokładać winien wszelkich starań, aby powierzoną sobie Instytucję utrzymać w stanie rozkwitu; że ją otoczy pietyzmem; że da pokoleniu młodemu wzór, z jaką czcią i powagą dotykać należy nawet strzępów z królewskiego płaszcza dawnej chwały, zwłaszcza wówczas, gdy chwałą tą jest imię Kościuszki, pamięć Konstytucji Majowej, lub tradycja Komisji Edukacyjnej. Ludzie, stojący na czele *Muzeum*, dyrektor p. Józef Gałęzowski oraz członkowie Rady wraz z podległym jej kustoszem rapperswilskim — p. Rozenwerth — Rużyckim, wszyscy stoją na gruncie niezachwianej tradycji narodowej i podają się stanowczo za jej stróży, a tymczasem rzeczywistość wskazuje, że tradycję tę w sposób barbarzyński, w sposób dotykalny, obrażają i gwałcą, zaprzepaszczając żywe, najistotniejsze, bezcennie kosztowne jej ogniwa i — dokumenty.

Mienią się sami konserwatystami, — a jakże to oni konserwują — przeszłość, uosobioną w zbiorach muzealnych? Jakże ją szanują? Jak rozumieją jej wartość, jej siłę wychowawczą — dla narodu?

Sam pan kustosz strzela do elzewirów i przedziurawia je na wylot. Piorunujące wrażenie śród rozpraw obecnego *Zjazdu* sprawiła obszerna depesza p. Zygmunta Wasilewskiego, byłego bibljotekarza a dziś redaktora *Słowa Polskiego*, którego chyba o stronność na korzyść strony oskarżycielskiej posądzić niepodobna, depesza, którą nadesłał w odpowiedzi na zapytania *Komisji rewizyjnej* co do pewnych faktów. Stwierdza on zarzut strzelania do elzewirów przez kustosza w sposób mniej więcej następujący: „Gdybym był, — powiada, — widział p. Różyckiego strzelającego do elzewiru, byłbym starał się do tego nie dopuścić; kustosz atoli przyszedł do mnie i, pokazując przestrzelony elzewir, rzekł: patrz pan jak dobrze strzelam!"

Dodajmy do tego, że równą zniewagę wyrządza przeszłości ten, kto historyczną, naukową, literacką, artystyczną czy też wogóle kulturalną jej spuściznę trwoni, jak ten, który ją fałszuje. Jednakowym był wandalem kustosz wtedy, gdy niszczył elzewiry i wtedy, gdy własną inwencją uzupełniał zasoby pamiątek, przez minione wieki przekazanych. Być może nawet w tym ostatnim wypadku większego jeszcze dopuszczał się przestępstwa. Bo, niszcząc pamiątki dawne, pomniejszał wiedzę naszą o przeszłości: gdy tymczasem konstruując nowe, przez siebie zmyślone dokumenty, wiedzę tą zniekształcał i paczył.

Muzeum na zamku rapperswilskim wznosi się, pośród gwaru teraźniejszości, jako przybytek spokoju, w którym zasnęły — wieki. Polak, udręczony męką chwili i beznadziejnością dnia, chwili, która go przygniata, dnia, który go łamie zwątpieniem, bieży na wolną ziemię szwajcarskich górali, aby tam, w Rapperswilu odetchnąć swobodą i wielkością, która niegdyś była swobodą i wielkością — naszą. Chce spojrzeć w jej obraz; szuka oczyma duszy jej wizerunku, zbiera szczegóły, gromadzi pamiątki, ogarnia je i spaja wyobraźnią, aby odtworzyć całokształt wrażenia, aby wskrzesić całą potęgę duszy — z popiołów; szuka, bada, docieka... lecz próżno: nie znajdzie wytęsknionego obrazu, bo... kustosz, imci pan de Rozenwerth Rużycki obraz ten mu zasłonił sobą, zakrył i za-

mącił własną swoją indywidualnością, — mówiąc: „przeszłość — to ja!" Do żywota Kościuszki domieszał nieco własnych przygód; pozostałe po nim rzeczy zbogacił własnymi sprzętami; bohaterów dawnych ukostjumował, wyświeżył i uczynił ich bardziej podobnymi do siebie, do własnego typu, który jest pono typem poczciwej nieudolności, od bohaterstwa przodków — niezmiernie dalekim.

Rozprawy *Zjazdu* obecnego w Rapperswilu miały przebieg bardzo burzliwy. Zjazd ów, w istocie, jest pierwszym miarodajnym zgromadzeniem *Rady*, która dopiero wskutek nalegań wielokrotnych spełnia te czynności, które winna była pełnić rokrocznie.

Komisja rewizyjna rozpatrzyła około setki zarzutów, dotyczących nietylko stanu Muzeum pod względem przechowywania okazów, niszczenia zbiorów, wystawiania rzeczy bezwartościowych oraz układu całego zbiorów, ale i pod względem gospodarki wewnętrznej administracyjnej, lekceważenia opinji i rad, udzielanych przez zawodowców, wreszcie traktowania urzędników i stosunku do nich delegacji paryskiej z p. Gałęzowskim na czele.

Dla ułatwienia prac komisji i wyjaśnienia zarzutów przesłuchano koło 14-stu osób, a między innymi: Stefana Żeromskiego, d-ra F. Koperę,—dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie, Karczewskiego, Sokolnickiego, d-ra Gierszyńskiego, Szpotańskiego, d-ra Kleczkowskiego i in.

Dyrektor Kopera sam jeden postawił stos zarzutów dostatecznie ciężkich dla pogrążenia w opinji dotychczasowych opiekunów rapperwilskiego przybytku historji. Stwierdził on przedewszystkim brak wszelkich gruntownych inwentarzy. Spis przedmiotów, który istnieje, jest zupełnie niedokładny. Nie robi się nic dla przekazania pamięci pochodzenia przedmiotów, wskutek czego historja ponosi niepowetowane straty. W inwentarzu zapisano np. minjaturę, mającą przedstawiać Fryderyka Wielkiego, przypisywaną Danielowi Chodowieckiemu, jako dar H. Bukowskiego; tymczasem p. kustosz własnoręcznie przekształcił nazwisko „Bukowski" na „Rużycki", do czego, zresztą, sam się przyznał. Ten „dar" swój pomieścił w gablotce, pod takąż kartką. Na zasadzie zaś dziennika darów z roku 1893, a zatym jeszcze za życia i pod kontrolą H. Bukowskiego sporządzonego, widać, że ta sama minjatura zapisana tam jest, jako dar Bukowskiego.

Lecz nie będziemy mnożyć przykładów dalszych nadużyć. Lista przestępstw sformułowana została przez mężów zaufania całego narodu. Jakie uzyskają oni zadośćuczynienie od Rady, pokaże wyrok, który dotychczas w całej pelni nie jest jeszcze znany. Acz komisja od początku pragnąc zlekceważyć siłę oskarżeń, wysuwała na plan pierwszy kwestje uboczne, jak np. sprawę dubletów, zakupionych przez p-na Sokolnickiego, w których zbiorowisku miał się znaleźć unikat Kroniki Stryjkowskiego, tłumiła natomiast sprawy zasadnicze, wykazujące niedobory i wady organiczne w gospodarce muzealnej, to jednak już dzisiaj rzeczą jest jasną, że p. Rużycki nadal na stanowisku kusztosza pozostać nie może. Chcąc obłudnie ratować pozory jego reputacji, tak fatalnie nadwątlonej, Rada zapewne szczędzić mu nie będzie swych hołdów, oznak wdzięczności i uznania. Wszakże hołdy te, w rzeczy samej, będą jedynie kompensatą za utratę stanowiska.

Jest to rozstrzygnięcie sprawy pokrywające, według nas, śmiesznością obie strony: zarówno Radę, jak samego pana kustosza. Do prasy codziennej przedostała się wiadomość, że p. Rutowski, jeden z członków Rady, zaprosił dotychczasowego kustosza muzeum rapperswilskiego p. Rużyckiego na kustosza galerji miejskiej we Lwowie. Akt tej osobliwej, w stosunku do opinji powszechnej, przekory ze strony p. Rutowskiego, usiłującego za wszelką cenę salwować honor kwalifikacji zawodowych Rużyckiego, w gruncie, stałby się tylko klasycznym dopełnieniem komizmu całej sceny powyższej. Zawiera on bowiem

---

TERESA LUBIŃSKA.

Historja niemoralna.

(Dokończenie).

Od owej pory Partaczowa trzy razy, w ciągu trzech miesięcy była w Warszawie.

Ubierała się w podróż starannie, myła, perfumowała opoponaxem, bo to mocny zapach. Wszystko wedle tego Doktora, że do paniów nawykły, jakby mu mydłowinami śmierdziała, toby i porządnie koło niej niej nie zrobił, a obiecał przecie wykurować z bezpłodności. —

Tak powiadała Mężowi.

Wracała zawsze podniecona i czerwona. Zadumywała się chwilami — to prawda. Ręce z kartoflem i nożem zastygały w powietrzu, aż jej nieraz przypominać musiał Antoni, żeby się uwijała. Potym przychodziły dni, cichego, łzawego smutku. Korna była i robotna, jak nigdy. Po kątach obcierała oczy, a małżeńskim afektom poddawała się jak drewno — nieczuła, zmartwiała nieledwie.

Minął kwartał. Adwent dobiegał już końca. Jutro wilijny dzien, a dwa tygodnie temu ostatni raz jeździła Partaczowa, do mądrego Doktora.

Gotowała właśnie susz na kompot. Pochyliła się nad garnkiem, para o wybitnie śliwkowym zapachu, obleciała ją dziwnie nie miło. W głowie jakiś zamęt — w oczach ciemno. Chwyciła się poręczy łóżka, co w podle kotliny stało. Spluwała w węgiel.

— Femcia co ci to? spytał podbiegając Antoni.

— Czy ja wiem? Tak mi dziwno... Tak me zamroczyło i mgli — daj mi wody łyknąc.

Antoni posłusznie wykonał rozkazy i żonie stołka podsunął, bo się położyć nie chciała. — Stroskany był i niespokojny. Toć całe życie zdrowa była. Zamyślił się pochylony nad Femcią, która spluwała ciągle.

— A może Ci doktór pomógł — rzekł nagle.

Jej oczy błysnęły radością.

— Może... Czy ja wiem.

— Pewnikiem pomógł — niedarmo trzy razy jeździłaś do kurowania. Obrzydza ci się? co? A może chcesz śledzia? Duchem polece. Nie wiem to? — Kobiecie w takim stanie śledzia zażąduje się zawdy.

w sobie mimowolną, a bardzo jadowitą ironję, która ostrzem swym zwraca się właśnie przeciwko panu Rutowskiemu, jako jednemu z aranżerów sceny, w szczególnym świetle stawiąc znawstwo jego w zakresie zabytków sztuki i historji: jak wiadomo p. Rutowski zakupił 800 obrazów dla projektowanego muzeum we Lwowie za 200 tysięcy koron, w przekonaniu, że kupuje obrazy wartościowe. Tymczasem, po za kilku oryginalnymi obrazkami bardzo miernej wartości, wszystkie inne były jak się okazało, kopjami, i to kopjami słabymi.

Wszelako, jakkolwiek będą wyglądały dekoracje, którymi Rada pragnęłaby osłonić swą zachwianą godność: — opiekunów dobra narodowego, jakkolwiek pachnieć będą kwiaty, którymi też Rada zechce usłać p. kustoszowi drogę ustąpienia ze stanowiska, dla nas, i dla całego społeczeństwa ma znaczenie ta przedewszystkim wiadomość, że owa kwiatami pachnąca droga wyprowadzi nakonice p-na Rużyckiego za drzwi *Muzeum* rapperswilskiego, i że instutucja ta, jak się wyraziła komisja, oddana być musi w ręce zawodowca któryby umiał zabezpieczyć jej rozwój.

Przyjmujemy wynik ten i na nim poprzestajemy. Może tylko, w zakończeniu, przypomnieć wypadnie, ile wysiłków, ile trudów, ile zniewag i krzywdzących podejrzeń ponieść musiała ta nieliczna grupa szlachetnych i bezinteresownych ideowców, która podjęła myśl uzdrowienia stosunków ważnej instytucji narodowej, zanim wymogła na jej zarzędzie pierwszy krok ku stosunków owych uzdrowieniu. Gdzieindziej—światli, wytworni rozmiłowani w historji przedstawiciele konserwatyzmu stoją na straży przeszłości. U nas, bojownicy postępu bronić muszą, w najdosłowniejszym tego pojęcia znaczeniu, zabytków historji — przed wandalizmem sfery zachowawczej.

Gospodarka finansowa miast polskich.

Pomiędzy 7-ym a 10-tym września odbędzie się w Kaliszu Zjazd higjenistów polskich. W ciągu ośmiu lat ostatnich będzie to już czwarty Zjazd (poprzednie dwa w Warszawie r. 1903 i 1905 i jeden w Lublinie r. 1908). Wszystkie zjazdy tego rodzaju są poświęcone przeważnie higjenie prowincji, a ponieważ ta higjena ściśle jest związana z bytem ekonomicznym ludności i z formami oraz warunkami jej gospodarki, więc zjazdy takie oczywiście posiadają doniosłe znaczenie społeczne. Mają one jeszcze przytym tę dodatnią stronę, że pozwalają się orjentować w potrzebach i niedomaganiach prowincji, dzięki temu, iż różne strony jej życia wyświetlają ci, którzy się stykają bezpośrednio ze wszystkimi warstwami ludności prowincjonalnej i widzą całą jej niedolę zdrowotną na podłożu społecznym

Najżywotniejszy był zjazd w r. 1905, kiedy poruszono sprawy samorządu ziemskiego i miejskiego i to w takiej formie, na jaką pozwalały ówczesne nadzieje i chwile „wiosenne". Niemniej jednak żywotne były obrady w r. 1903, „przedwiosenne", a następnie w Lublinie r. 1908, na którym był najcenniejszym i najbardziej źródłowym w tej dziedzinie refarat d-ra Józefa Jaworskiego — o gospodarce finansowej zarządów miejskich w Królestwie Polskim. Dr Jaworski należy do tych niepospolitych i nielicznych lekarzy, którzy poza swą pochłaniającą specjalnością żywo się zajmują sprawami społecznymi i to w sposób bardzo pracowity i poważny.

Zjazd w Kaliszu nie zapowiada się tak żywotnie i bogato, jak zjazdy poprzednie. Zresztą dziś jeszcze nie można tej sprawy przesądzać. W każdym razie będzie on korzystał z materjału zjazdów poprzednich i potrąci również o źródła niedomagań higjenicznych, t. j. o gospodarkę prowincji, opłakaną, wynikającą w znacznej mierze z naszych wyjątkowych warunków istnienia. Brak szpitali, brak szkół, miejskich łaźni, studzien, kanalizacji. bruków, ogrodów, rzeźni wzorowych i wszelkich najniezbędniejszych urządzeń higjenicznych w naszych miastach i miasteczkach pochodzi z ich zupełnego zaniedbania i skrępowania w dziedzinie gospodarczej.

Partaczowa uśmiechnęła się.

On wybiegł. Ona obchlustywała czoło wodą z wiadra—a przez myśl, jak błyskawica leciało:

— Już? Czy aby prawda? Wysłuchał Pan Jezus? Ciąża to? Do spowiedzi pójdzie. Zemści ją ksiądz... aby rozgrzeszenie dostać. Jutro Dzieciąteczka Bożego Narodzenie. Miłosierdzie boskie. A toć i pszczela matka z roju na gody z trutkiem wylata byle ino młode pszczółeczki w ulu były.

Jeżeli to prawda! O Jezu, Jezu! Matko boska w Leżajsku cudami słynąca, lelijo biała!

Toć i Tobie grzechem niezmazana, zasłonił Duch Święty, a otoś dzieciąteczko porodziła i Święty Józef ojcem Mu był. Ino przez mężczyzny nijakiego... Ale ja grzeszna?

W piersi bić się jęła, a że to Józiek czeladnik właśnie z robotą, aż do Rozlasłowa poszedł i w izbie sama majstrowa, tak się na kolana osunęła — mokrą twarz w pościel wtuliła i spowiadała duszę swą prostą i łkała radość serdeczną.

Partacz zastał ją w modłach. Podszedł na palcach, klęknął obok — wpół ją objął, a śledzia lagrem kapiącego przez papier, na kapie w kwiaty złożył. Do ucha żony szeptał:

— Cichoj matuś — Cichoj. Błogosławieństwo boskie na nasz dom. Powiadam ci; ani chybi, mądry ten twój doktór. Niech mu to niebo stokrotnie wynagrodzi.

. . . .

Ksiądz spomstował. Ha trudno — duchowna osoba jest — ale rozgrzeszenie dał i przysiądz kazał, że już nigdy, przenigdy. Przysięgła na Stwórcę Świata i Matkę jego niepokalaną i Świętych Pańskich i te duszyczki w czyśću cierpiące.

Jużci, że nigdy. A pochżby? Toć w ciąży jest. Sama akusierka mówiła, a i ona widzi.

Mgli jom i po kątach spluwo, aż się z dumy prostuje i codzień chodzi po śledzia z lagrem i po kawałek sera z kminkiem.

— Wiadomo, mówi, do starej Gitli, musi się wycierpieć brzemienna kobieta i grzech zażądaniu odmówić, a powiadam Gitli po nocach mi ten serek kminkowy pachnie.

Męża młoda Partaczowa ma w obserwacji wielkiej. „Tatusiu" woła na niego, że to za kilka miesięcy, ojcem będzie. Głaszcze go, a całuje, a skwarkami z wędzonej słoniny przypodchlebia, że aż chłop taje z tego szczęścia.

W izbie ino śpiewanie żonine słychać ino słowa dobre... Kobieta chodzi, uśmiechniona, rada... A kto to wszystko zrobił?

Daje się przy tym zauważyć zjawisko wielce znamienne: miasta te nietylko nie są zadłużone, ale posiadają nawet kapitały, leżące jednak martwo, bez użytku. Za granicą długi miast dowodzą ich wielkiego rozwoju gospodarczego i postępu. Taki Berlin np. ma sto dwadzieścia kilka miljonów długu, Bruksella przeszło 100 miljonów, Lipsk około 30 mil. i t. d. Tymczasem nasze miasta i miasteczka, wprost skandalicznie zaniedbane, — posiadają kapitały zapasowe.

Ciekawe światło na te stosunki rzuca dr Józef Jaworski: „Zarządy miejskie w naszym kraju, przy układaniu budżetów i ich wykonywaniu, najczęściej starają się usilnie o wykazanie w końcu każdego roku mniej lub więcej znacznej przewyżki dochodów nad rozchodami, najwidoczniej w tym przeświadczeniu, że na takim właśnie zarządzaniu funduszami podlega właściwy cel gospodarstwa publicznego".

Kapitały, będące własnością miast, stanowią tak zwane depozyty wieczyste, dające 4 proc. dochodu rocznie, lub leżące bezprocentowo, mianowicie w razie przelania ich do kas gubernjalnych, albo do depozytów ministerjum spraw wewnętrznych.

Kapitały te, w myśl prawa, są unieruchomione na wieczne czasy. Kapitały zaś, powstałe z zaoszczędzonych pozostałości budżetowych, t zw. specjalne, deponowane w Banku Państwa, dają miastom 3 proc. rocznie, przy tym prawo rozporządzenia takimi kapitami przysługuje magistratom, na mocy jednak zezwolenia władzy, za każdym razem.

„Taki rodzaj kapitalizacji pozostałości budżetowych bez żadnej korzyści dla miasta i ludności miejskiej, jest wprost bezcelowy, nawet złośliwy, ponieważ powoduje zaniedbanie pod każdym względem naszych miast i osad".

Dane cyfrowe wykazują, że gdy w r. 1879 t. zw. zapasowe kapitały miast gubernjalnych (z wyłączeniem Warszawy) wynosiły ogółem 444,103, to w r. 1900 wzrosły do 1,537,056, czyli że w przeciągu 21 lat kapitały zapasowe naszych miast gubernjalnych, łącznie z Łodzią, powiększyły się o 1,092,953 rb., czyli o 246 proc!

Dane szczegółowe, dotyczące miast oddzielnych, wykazują, że tylko w dwu, t. j. w Łomży i Suwałkach, kapitały zapasowe się zmniejszyły w tym czasie, i to znacznie, bo przeszło o 60 proc.; natomiast we wszystkich innych powiększyły się, i to w niektórych bardzo znacznie, przeszło czterokrotnie (w Łodzi i Lublinie), siedmiokrotnie w Siedlcach, a nawet, *tysiąckrotnie* — w Kielcach. Ogólna suma kapitałów dziewięciu miast gubernjalnych i Łodzi w ciągu 21 lat wzrosła prawie dwa i pół razy.

W innych miastach Królestwa Polskiego, oprócz gubernjalnych i Łodzi, w r. 1879 kapitały zapasowe wynosiły ogółem 3,018,967; w r. 1900 cyfra ta spadła do 2,485,950, czyli że w przeciągu 21 lat kapitały te zmniejszyły się o 533,017 rb., t. j. o 18 proc.

Znaczne zmniejszenie się kapitałów dr Jaworski wykazuje w dwu gubernjach: Łomżyńskiej i Płockiej (o 64 — 66 proc.) Natomiast daje się spostrzegać wielkie powiększenie kapitałów w gub. Lubelskiej (o 181 proc.) i Radomskiej (o 168 proc.) Co do zmniejszenia się kapitałów, to pochodzi ono nie ze wzrostu wydatków na polepszenie stanu miast i miasteczek pod względem zdrowotnym, nie na zaspokojenie potrzeb kulturalnych ludności, lecz głównie stąd, że użyto je na spłacenie długów.

Cała dotychczasowa gospodarka finansowa zarządów miast gubernjalnych, oraz w znacznej większości niegubernjalnych, dążyła jedynie do stałego powiększania, kapitalizowania i unieruchomiania dochodów miejskich, częściowo zaś do spłacania długów, przy systematycznym jednocześnie pomijaniu, zaniedbaniu i ograniczaniu wszelkich ulepszeń, zaspakajających najpilniejsze potrzeby ludności, pod względem zdrowotnym i kulturalnym.

Bardzo ciekawa i znamienna jest inna strona gospodarki finansowej zarządów miejskich u nas — w pozycjach wydatków na różne cele, głównie zaś na potrzeby ludności. Zasługą d-ra Jaworskiego w tej mierze jest odpowiednie zestawienie cyfr:

W r. 1879 w Łodzi i dziewięciu miastach gubernjalnych w Królestwie Polskim wydatki na utrzymanie zarządów miejskich w dwu tylko miastach, z ogólnej liczby dziewięciu, w Kaliszu i Radomiu — wynosiły nieco mniej niż połowę ogólnej cyfry wydatków, w pozostałych zaś miastach wynosiły znacznie więcej, przyczym w Łodzi, Płocku i Siedlcach wydatki tej kategorji przekroczyły $^2/_3$ ogólnego budżetu miejskiego.

Wydatki na cele społeczne, na oświatę i dobroczynność publiczną w dwu tylko miastach: Kaliszu i Radomiu, przekroczyły 10 proc. (20 proc. i 14 proc). ogólnej cyfry wydatków bieżących. W siedmiu miastach wydatki te wahają się pomiędzy 4 — 8 proc.;

Kto? Jużci Doktór pomógł — ani słowa ale przez niego, przez Antoniego Partacza nic by nie było!

Partacz podkręca rudawego wąsa, wstawiając klinową łatę w sukmanę Macieja Kiełbasy.

— Zawsze co mężczyzna — to mężczyzna, konkluduje.

Miesiące mijają.

Partaczowa przypomina sobie dawne umiejętności, w garderobie hrabiny zdobyte.

Wyprawkę szykuje dziecku.

Jak przyjdzie jaka kumcia pod wieczór, to się lampa pali na stole, przykrytym serwetą, a za stołem na ceratowej kanapie siedzi majstrowa i coś dłubie igłą.

— Cóż to kumosia robi?

— Haftuję powiada, gałązkowym ściegiem i pocztowym, czerwonym garyniem, falbanki do kaftaniczków haftuję dziecku.

Kumosia na tyle dostatków pogląda pożądliwie, a z szacunkiem.

— Ha, no — majątek jest, powiada. Kumoter majster, jak się patrzy. Nie to co u nas. Mój co zarobi to przepije — a dzieciska w łachach i no się plączą niebożęta.

Siorpnęła nosem uroczyście.

Partaczowa wstała, ciężko przechylając się w tył. Przetarła 4 szklanki — podała herbatę, cukier i kawałek placka. Majster i czeladnik przysiedli się do stołu.

Za oknem ostatnie śniegi zimowe, co przed wiosną zmykają, walą w szybki firaneczkami osłonione. Pelargonje główkami czerwonymi łyskają. Ciepło... dostatnio... szczęśliwie..

Partaczowa męża po głowie głaszcze.

— Nasz tatuś, powiada, to wszystkim na przykład. Jaki to szyroki w plecach, jakie to ma ręce robotne. Wystarczy mu siły i na żonę i na dziecko. Galantego mężczyznę mam.

Westchnęła głęboko, bo się po głowie mignął jakiś inny... tam, w Warszawie... Ale... to jest tajemnica. Co to komu do tego. Na spowiedzi świętej zeznała, pokutę świętą odprawiła. A — tak i Antek ojciec. Przecież z Antkiem jej ksiądz ręce stułom związał; Antek co noc śpi, na tym łóżku wysoko pościelą zaslanym; na Antka w zakrystji i przepisane będzie dziecko.

Kto ta wreszcie wie? Może i ze wszystkiem Antkowe... Może z tej nocy, co to, jak z Warszawy wróciła ostatni raz i splakała się, to już całkiem myślała, że wybawienia nijakiego nie ma... a on jom tulił i całował we włosy? Może... Kto ta zgadnie? Bóg ino Wszechmogący wie, ale zawdy Antek Ojciec.

w Siedlcach zaś wydano na oświatę ludową i dobroczynność publiczną tylko 315 rb., co stanowi 1,5 proc. ogólnego budżetu miejskiego.

Wogóle koszty administracyjne wynoszą przeciętnie 58,5 proc., wydatki zaś na cele kulturalne zaledwie 9,1 proc. ogólnego budżetu naszych miast gubernjalnych, łącznie z Łodzią. Na każdy rubel, wydatkowany na oświatę ludową i dobroczynność publiczną, przypada przeciętnie 6,4 rb. wydatków na utrzymanie zarządu miejskiego.

Cyfry późniejsze wykazują, że po upływie lat 21 stan rzeczy zmienił się cokolwiek na lepsze, acz w bardzo małym stopniu: stosunek procentowy wydatków na cele kulturalne, w porównaniu z ogólnym budżetem miejskim, zwiększył się z 9,1 proc. do 10,7 proc; koszty administracji jednak nietylko się nie zmniejszyły, lecz przeciwnie, wykazują nawet pewną podwyżkę: z 58,5 proc. do 58,6 proc.

Wydatki na administrację w miastach niegubernjalnych wynosiły przeciętnie 58,9 proc. ogólnego budżetu, gdy w miastach gubernjalnych 58,5 proc.; wydatki na cele kulturalne stanowiły zaledwie 6,6 proc. ogólnego budżetu, a więc mniej, niż w miastach gubernjalnych.

Na 105 miast Królestwa Polskiego, w pięciu (r. 1900) nie wydatkowano ani grosza na cele kulturalne. W ośmiu miastach wydatki na oświatę ludową i dobroczynność publiczną nie przekroczyły 50 rb. na rok, a w sześciu miastach dosięgły zaledwie 100 rb. W jedenastu miastach na porządki na ulicach, placach i t. d. nie przeznaczono nawet 100 rb.

Dr Jaworski postawił następujące ogólne desiderata:

Zadaniem gospodarki finansowej publicznej jest nie kapitalizowanie, nie oszczędzanie, nie wzbogacanie państwa, lecz dbałość o rozwój gospodarczy całego społeczeństwa, przez umiejętne stosowanie wydatków do rzeczywistych jego potrzeb. Zarządy miejskie winny świadomie dążyć do tego celu przez odpowiedni układ dochodów i wydatków i przez umiejętne zarządzanie nimi. Zarządy miejskie powinny dążyć do tego, ażeby siła podatkowa ludności była zużytą w jaknajwiększym stopniu na potrzeby i korzyść publiczną a koszty samej administracji, aby były doprowadzone do możliwego minimum. W gospodarce publicznej czynności powinny być obliczone na szereg lat, a nawet stuleci, ponieważ z zamierzeń i zarządzeń jej korzystać będzie społeczeństwo nietylko w teraźniejszości lecz i na przyszłość, może nawet w stopniu większym. Zarządy miejskie nie mogą i nie mają prawa prowadzić gospodarki finansowej w ten sposób, jakgdyby one same były dla siebie celem. Obowiązkiem ich powinna być troska o potrzeby ludności miejskiej.

Desiderata bardzo piękne, które wszakże pozostaną pobożnym życzeniem, dopóki nie będziemy mieli samorządu miejskiego w najszerszych granicach, opartego na zasadach głęboko demokratycznych. W dzisiejszych warunkach nic się nie zrobi Można tylko gromadzić materjał na przyszłość, do czego w znacznym stopniu mogą właśnie się przyczynić zjazdy higjenistów polskich. Takie poszukiwania i badania, jak d-ra Jaworskiego są bardzo cenne i życzyć należy, ażeby w jego ślady poszli także inni lekarze. Następnie rozważanie, oświetlanie i segregowanie tego materjału na zjazdach higjenicznych również ma znaczenie wielkie. Zjazdy higjeniczne mogą tedy położyć wielkie zasługi w dziedzinie przygotowań do przyszłego samorządu miejskiego. Nie mniej mogą być cenne ich materjały, w pewnych działach, dla samorządu ziemskiego.

Zenon Pietkiewicz.

Listy z Galicji.

XII.

Sprawa ugody polsko-ruskiej.

Przed rozjechaniem się posłów z Wiednia, prezydjum Związku klubów ruskich odbyło konferencję z prezydjum Koła polskiego w sprawie ugody obu narodów w Galicji. Obrady te są tajemnicą i niema o nich żadnych wiadomości dokładnych. Będą one wznowione na jesieni. Sama ugoda omawiana będzie w sejmie; chodziło jednak o przedwstępne omówienie sprawy posłów ruskich z Kołem, które w tej sprawie może i powinno conajmniej pośredniczyć. Podobno pierwsze te próby omówienia sprawy ugody wypadły dość dobrze.

Z powodu tych narad oraz samej ugody, prasa polska i ruska omawia teraz stosunek do siebie obu narodów w Galicji. *Diło* zaś zamieściło kilka artyku-

---

Szczęście i błogosławieństwo. Chwała niech będzie Bogu na Wysokościach.

Kumosia poszła. Majster w pościeli legł od ściany, szyrokie miejsce ostawiając żonie, że to jej wygody teraz potrzeba. Józiek czeladnik do komody wlazł, gdzie ma spanie jak się patrzy, bo tam ino balja, a szafle stoją i aby beczka z kapustą i baryłka z ogórkami. U nich tak; każdy ma swoje uszanowanie iswoją wygodność.

Partaczowa złożyła haftowanie i nogi przed się wyciągnęła; ręce na łonie splotła i w światło lampy się zapatrzyła.

— Choć ta i z nowego Antoni nie robi, majętność w domu jest, duma sobie. Pracowity chłop i wszystko pomyślnie idzie. Nawet sklepiczarka uwierzyła, że jej Doktór pomógł. W ręce przenajjezusowsze złożyła dolę swoją — i uładziło się składnie. Tamten nie wie nawet, jak ona się nazywa, ani skąd, ani co za jedna. Szewcowa z Mokotowa i już, — Antosia. Jak ona to sprytnie wykalkulowała!

Zaśmiała się w sobie cichutko, a uśmiech przez oczy niebieskie, na izbę wybiegł.

— O nim to wie, że kawalir i ślusarz i Bolek na niego wołają. Żonatego broń Boże — grzech byłby na pokuszenie wodzić. Powiedziała mu zaraz, że nie jest byle jaka, choć się w duze gawędy nie wdawała. Bo i poco? — Wstyd ją było. Oj wstyd okrutny — i bojała się strasznie i modliła w sercu szczerze. Ciężko — ciężko na duszy, sierocie takiej nieszczęsnej, co u innego wspomożenia szukać musi.

Wagowała się w sobie i tak i owak — a tu ani się komu wygadać, ani do kościoła iść — bo jakże?

Silnie mu się spodobała. No bo i ładna jeszcze nie sterana w dobrym bycie jest.

Co on ta myśli, że nie przyszła więcej. Markoci mu się? A ino. A ona nie przyjdzie... Acha! zobaczy ją, jużci — dudka na kościele, na przyszłą niedzielę... Ale dzicie go, kochanicą mu może ma być! Ladajaka to jest?

Ale... niech se szuka tego wiatru, co wieje po polu. Przyjdzie do niego jużci... po niedzieli, lada który tydzień. Cóż on jej to? Ślub z nią brał? Albo co? Na niego to będzie przepisane dziecko w mentryce świętej? Nie ma to swojego chłopa, jako się patrzy? Jużci obaczysz ty mnie!

Pięść w figę złożyła i w powietrzu się zatrzęsła. Szepnęła jeszcze naśmiewne „juści", a wspominać nie przestawała.

— Oj dolo, ty dolo, myślała żałośnie... Nie lekki ten dzień był, kiedy się z onym Bolkiem pod „Czerwonym kogutem" poznała... Kiedy ją w pół objął, w pysk go chciała lunąć — wszystko się w niej zatrzęs-

łów, w których wskazało, w zarysach ogólnych, żądania ruskie.

Zaznaczając na wstępie, że Rusini dążą z czasem do podziału Galicji, organ ten stwierdza, że w chwili obecnej dążenie to nie może być urzeczywistnione i teraz należy się domagać: 1) podziału spraw narodowo-kulturalnych polskich i ruskich w ten sposób, aby każdy naród załatwiał samodzielnie swoje, należałoby więc podzielić Radę szkolną krajową, utworzyć uniwersytet ruski we Lwowie, dzielić środki na cele narodowo-kulturalne obu narodów wedle stałego klucza; 2) następnie zwiększenie przedstawicielstwa ruskiego oraz utworzenia kurji narodowych w sejmie, celem uniemożliwienia majoryzowania, w sprawach narodowych jednego narodu przez drugi; 3) wreszcie utworzenia posad wice marszałka i wice namiestnika, obsadzanych przez Rusinów, oraz zwiększenia liczby przedstawicieli Rusinów w wydziale krajowym.

Za najpilniejsze potrzeby Rusini uważają, w chwili obecnej: utworzenie uniwersytetu ruskiego we Lwowie, oraz reformę wyborczą.

Jeżeli czytelnicy sobie przypominają, to przed niespełna dwoma laty na łamach *Prawdy*, wysunąłem naogół te same punkty, z wyjątkiem kurji narodowych, celem oparcia na nich ugody polsko-ruskiej. Przed kilku zaś miesiącami w lwowskim *Życiu* wysunąłem również powyższe reformy.

Tak więc i Rusini, w chwili obecnej, nie domagają się podziału Galicji, chociaż nie abdykują z niego.

Zdawałoby się więc, że te żądania, które stawiają, są w każdym razie tego rodzaju, że tworzyć mogą podstawę do poważnych pertraktacji.

Jak się wobec tych żądań zachowała prasa polska?

Gazeta Narodowa wydrukowała artykuł profesora Zdziechowskiego, w którym usiłuje on wykazać, że Rusini nie są narodem odrębnym. Napróżno czytelnicy poszukiwaliby w tym artykule jakiejś argumentacji rzeczowej. Prof. Zdziechowski ze zdumiewającą lekkomyślnością, arogancją i blagą, opierając się na zdaniu kilku Rosjan, a bez żadnej znajomości rzeczy, odmawia Rusinom prawa do tworzenia odrębnego narodu. Cały ten artykuł zdradza socjologiczny i polityczny analfabetyzm jego autora.

Za Rusinami ujął się zachowawczy *Przegląd* oraz *Gazeta Wieczorna*. Inne pisma albo ogłosiły bez komentarzy, żądania Rusinów, albo dodały do nich kpiny i wyrazy zdziwienia.

Oto jest dojrzałość polityczna, oto rozum stanu!

A tymczasem sprawa ruska, mimo wszystko, wejdzie na porządek dzienny, bez jej uregulowania, sejm będzie zupełnie sparaliżowany.

Przypuszczać wolno, że rozum polityczny prezesa Koła polskiego dr Bilińskiego przełamie trudności w Kole. Trudniej będzie tę sprawę posunąć naprzód w sejmie, w którym jest aż kilkudziesięciu podolaków i kilkunastu narodowych demokratów. W każdym razie zachowawcy zachodnio-galicyjscy, ludowcy, oraz demokraci bezprzymiotnikowi wraz z Rusinami stanowić będą większość. Od energji więc i rozumu politycznego tych stronnictw zależeć będą losy ugody tak potrzebnej dla obu narodów.

Demagogja nacjonalistyczna jest jednak tak silna, że żadne z wymienionych wyżej stronnictw polskich nie ma odwagi publicznie, ostro i stanowczo uznać za słuszne, naogół przynajmniej, wymienionych żądań ruskich Być jednak może, konieczność ugody wystąpi wyraźniej jeszcze na jesieni. Niezawodnie też i Wiedeń znajdzie środki odpowiednie dla skłonienia stronnictw polskich do ustępstw. Br. Gautsch jest człowiekiem o wiele światlejszym od br. Bienertha, tego politycznego zera.

W obozie rusińskim zauważyć się daje od pewnego czasu daleko spokojniejszy ton wobec Polaków. Jest to objaw bardzo ważny, którego lekceważyć nie należy. Bez względu na to, czy ugoda będzie przeprowadzona już w czasie najbliższym, czy nie, faktem jest niezawodnym, że staje się coraz aktualniejszą i że zarówno w Wiedniu jak i w samej Galicji coraz więcej o niej mówią. Obecnie wszyscy dygnitarze polscy, stojący u steru polityki, pragną jej szczerze. Dr Bobrzyński, Stanisław hr. Badeni, Dr Biliński i Dr Zaleski — są wszyscy gorącymi jej zwolennikami i pod tym względem wyprzedzają na ogół niezawodnie społeczeństwo polskie w Galicji.

Podolacy, oraz ci wszyscy, co jak p. Zdziechowski odmawiają Rusinom prawa uważania się za naród, zapominają o jednej, bardzo ważnej rzeczy, że konstytucja austryjacka już od pół wieku z górą uznała ich za naród odrębny i że nacjonaliści polscy różnych odcieni nie mają dość sił na to, aby to zmienić. To też wszelkie dyskusje na ten temat są zupełnie jałowe.

ło, że to uczciwą kobietę tak traktuje. Ale w mig przeleciało przez głowę: „Dziecko" — ono jedynie nieznane, gdzieś na łączce Jezusowej w kwiatkach śpiące — duszka na ziemię nie wezwana jeszcze...

„Dziecko" radość matczynego żywota — umiłowanie.

Pamięta dobrze, jak jej światełka jakieś przed oczyma latały — a w uszach szumiało słowo jedno, niewypowiedzianej słodkości pełne: „Mamo".

„Mamo" śmiały się usteczka drobniunie.

„Mamo" trzepotały rączyny, ku niej wyciągnione.

„Mamo! Mamo!".

Pamięta.. Wyszli w wieczór ciemny, deszczem mżący. Cisnęła mu się do ramienia drżąca, przelękniona.

— Mój Ty — mojeśty, szeptała. Mój kochany mój.

No—tak trza. Niech kocha — niech się miłowaniem upije — bo „dziecko".

Chciał jej wódki słodkiej dać. Nie piła i jemu nie dała pić. Nie trza — jeszczeby zaszkodziło.

A potym znów wagowanie. Już uciekać chciała — tam z jego izby. Sam se mieszka, jak pan. Porządnie — Kufer duży — widać ubrania ma nie mało. I Gazetę se trzyma mądrala i ochędożnie w izbie i Matki Boskiej Częstochowskiej obrazek nad łóżkiem wisi.

Zmykać już chciała. Szóste przykazanie... grzech... Spowiedź święta... Kara Niebieska. Ale przecież na dziecku niewiniątku Bóg nie pokarze...

Pamięta.. Zdrowaśki mówiła, bez warg poruszenia... i Piątki ślubowała całe życie suszyć...

Sen morzyć począł Femcię Partaczową.

Rozzuła się. Rozebrała — pacież pokornie, na klęczkach odmówiła. Stanęła chwilę nad mężem, w twarz jego śpiącą patrząc — z miłością wielką.

— Zawdy on ojciec, szepnęła. Wola Boża i nie przeciwiać jej się. Ksiądz na spowiedzi rozgrzeszył. Wola i miłosierdzie boże.

Legła na łóżku i wraz usnęła

. . . .

Przyszła jesień znowu.

Rankiem w Niedzielę poszła Partaczowa na Mszę św. Modliła się żarliwie — odśpiewała litanję ze łzami w oczach.

Jak wychodziła z kościoła, zapachniało jej pole we wrześniowych pozłotach stojące, więc mostem nad Bzurą przemknęła się za miasto.

Zagony kapusty srebrzyły się rosami późnymi... takie wielkie łzy, migotliwe zielenią i wodnymi kropelkami. Zaraz obok kartofle. Badyle zeschnięte, zczerniałe sterczą, a z żółtego piasku wyzierają tu i owdzie grube mączyste.

Czyż można się potym dziwić Rusinom, że nas atakują, kiedy są u nas stronnictwa, co ich nie chcą uznać za naród i co przeciwstawiają im ciągle „spokojnych" moskalofilów, i kiedy inne stronnictwa, uznające ich za naród teoretycznie, nie chcą wyprowadzić z tego należytych konsekwencji.

Ludwik Kulczycki.

Organizacja kooperatywy spożywczej.

I.

W każdym człowieku są dwie dusze: jedna wiecznie czujna, niespokojna, palona żądzą gromadzenia, skłopotana dniem jutrzejszym; druga—leniwa, senna, zawsze potulna. Pierwsza — jest duszą spekulanta, duszą człowieka zajętego, który zębami i paznogciami wyciąga korzyści ze swej sytuacji i ze swej pracy; druga—jest duszą spożywcy, żywi zabobonny szacunek dla pierwszej i z chrześcjańską pokorą pozwala eksploatować i rabować na jej cześć".

Istotnie potulność każdego z nas, jako spożywcy, którą tak dosadnie charakteryzują przytoczone słowa włoskiego kooperatysty A. Vergnanini'ego (w jego Cooperazione integrale), jest niełedwie bezgraniczna, Kupujemy, nie znając się na wartości nabywanego towaru, i płacimy, co nam każą. Zresztą, jesteśmy do pewnego stopnia usprawiedliwieni, gdyż jest niepodobieństwem, aby każdy znał się na wszystkim, co w ciągu swego życia kupuje. A jeżeli idzie o ludzi niezamożnych, którzy z trudem „wiążą koniec z końcem" i są dość naiwni, aby przyjmować otwarty kredyt w małym sklepiku za dobrodziejstwo—to w tym wypadku, tak częstym przecież, pokora duszy spożywczej przechodzi wszelkie wyobrażenie. Zły towar, sfałszowany lub zleżały, zła waga, zła miara—wszystko to bierze się z dobrodziejstwem inwentarza, za kolosalnie wysoką cenę i jeszcze ze złudzeniem otrzymanej łaski. „Niewielu jest ludzi bogatych, którzy mogliby sobie pozwolić na zbytek kupowania tak drogo, jak kupują biedni"—ironicznie zauważył jakiś Francuz. I lwią część tej kolosalnie wysokiej ceny nie zabiera wytwórca, lecz kupiec-pośrednik. Niemiecki kupiec Uhlenhorst [1]), zdumiony wielkimi zyskami swego zawodu, oblicza, że w Niemczech rocznie fabrykuje się i sprzedaje 6 miljonów pudełek cygar. Konsumenci płacą za to 300 miljonów marek. „Plantator tytoniu; pierwszy pośrednik, dostarczający fabrykantowi liści tytoniu; przedsiębiorstwo transportowe; fabrykant cygar i jego robotnicy, fabrykant pudełek, dostawca etykiet, banderoli, gwoździ i jeszcze raz transport z fabryki do sklepów—razem koło dziesięciu niezbędnych zawodów otrzymuje w sumie za wyświadczone usługi z tych 300-tu miljonów marek—144, a *więcej niż połowę*, t. j. 156 miljonów marek, zabiera handel detaliczny za lekką pracę rozdania 6-ciu miljonów pudełek. Inaczej powiedziawszy—144 miljonów dzieli pomiędzy siebie koło 200-tu tysięcy mniej lub więcej pożytecznych robotników, a 156 miljonów pożera armja trutni".

„Armja trutni" mimo to bynajmniej nie czuje się sytą, gdyż pożera ją z kolei wzajemna konkurencja. Prowadzenie sklepu nie wymaga ani wielkiego kapitału, ani wielkiej wiedzy zawodowej, ani wyjątkowych zdolności, a sklepy detaliczne mogą dawać olbrzymie zyski. To też całe masy ludzi, żądnych „lekkiego chleba" rzucają się na drobny handel, albo konkurują pomiędzy sobą: wówczas spożywca może mieć nadzieję gdzieś coś względnie tanio nabyć, jeżeli go przytem nie oszukają, albo—najczęściej—zmawiają się pomiędzy sobą, naznaczając jednakową cenę za każdy towar. Wówczas spożywca jest całkiem bezbronny, lecz nawet zmowa nie może przeszkodzić tworzeniu się nowych sklepów. U nas tylko apteki i rejentury mają ilość prawnie ograniczoną i dlatego przynoszą zyski wprost fantastyczne. Po za tym mamy zażartą konkurencyę sklepikarzy pomiędzy sobą i nielitościwy wyzysk spożywców.

A jednak—spożywca jest właściwie tym celem, dla którego obraca się cała machina produkcji i wymiany. Jego potrzeby, jego gusta, jego kaprysy nawet wytwarzają całe gałęzie pracy. Nie byłoby celu produkowania czegokolwiek na handel, gdyby nie było nadziei że znajdą się nabywcy na wyprodukowany towar. No—a nikt, przy współczesnym systemie gospodarczym, nie zdołałby wyżyć, zużytkowując te tylko

[1]) M. Uhlenhorst. Kaufmann oder Schmarotzer? (Kupiec, czy pasorzyt),cytowane w książce W. F. Totomianca: Potrebitelnyja obszczestwa (2-gie wydanie).

Kopry się pośród nich pióropuszami trzęsą, osty przydrożne niebieskimi, i fioletowymi oczkami myzgają.

Taka się radość niesie po tych zagonach wilgotnych i po tych rżyskach rudawych. Ściernie złociste, babim latem omotane, jakby krosna, co na nich igiełką z promienia, słonko cości haftuje...

Oj radość.. radość...

Za rok, to tu z dzieckiem partaczowa przyjdzie, jak Pan Jezus pozwoli:

Kartofle z przynajętą dziewuchą kopać będą. Maleństwo, na chustach ułoży w ściernin, w cieple, bo w miedzy we wrześniu nie przezpieczno. Rosą umyje oczy dziecinie i pójdzie z motyką w zagony. Wielkie kartofle, w koszyk, a małe w bok od siebie rzucać będą. Małe dla świniaka. Co roku wieprza dużego wykarmić musi na przedaż, na posag córuchny.

A jak małe zakwili, to motykę ciśnie, nad rowem przysiądzie, pierś pełną usteczkom maleńkim poda... nakarmi...

Szła potem Partaczowa. Gibała się w tył, bo coś w krzyżu bolało, a rozmyślała, jak to za rok kapustę kwasić będzie, a listki te wierzchnie dla krowiny odkładać, żeby dużo mleka dawała. Pocielętna będzie,—trza jej przydobrzyć, boć i to grosz pewny dla córuchny jedynej. Starunku nie pożałuje.

Oj jak ją też to boli — jak boli, choć krzyczeć w to słonko jarzące.

. . . .

Wróciła do domu. W drodze spotkała sklepiczarkę. Doświadczona kobieta i znająca zara zwąchała co się święci.

Poród. A no tak. Bóle idą w szczęśliwości godzinę bolesną.

Zeszły się kumy, jak przystało. Duchem koło rodzącej obrządek robić jęły,

Oblekły ją czysto — wódki z tłustością uwarzyły, od wypadku wielkiego słabowania — i wodę grzały.

Partaczowa modliła się w głos i krzyczała z całego gardła, jako kobiecie rodzącej należy, choć uśmiech radości przemożnej, z twarzy zsiniałej nie znikał.

Męża, raz w raz do siebie wołała.

— Widzisz ojciec, mówiła, co się to niewiasta nacierpieć musi, nim na świat wyda płód żywota swego — a wam zbereżnikom, ino głupstwa w głowie.

Głos miała niby to gderliwy, a rękę pieszczotliwie na głowie mu kładła.

— Widzisz Tatusiu, Widzisz.

On wzdychał, jak grzesznik, przy konfesjonale, a prostował się z pychą. Mężczyzna jest — wiadomo mocny — na schwał chłop.

przedmioty, które własnemi rękoma zrobił. Spożywca jest zależny od wytwórcy, lecz wytwórca stokroć więcej zależy od spożywcy i spożywca powinien także dojść do głosu.

Jeżeli głos jednego, odosobnionego spożywcy nie wiele waży, to sytuacja się zmienia, gdy występuje na scenę związek spożywców, reprezentujący większą ilość jednostek, Nawet drobny detaliczny sklepikarz będzie się liczyć z zorganizowaną grupą ludzi, która postanowi kupować w danym sklepie, z warunkiem dostarczania dobrych towarów. Taki związek spożywców może nawet niekiedy pominąć zupełnie sklep detaliczny i zwrócić się wprost do producenta, a więc naprzykład sprowadzić sobie wagon węgla wprost z kopalni i następnie podzielić go pomiędzy siebie. Wówczas korzec wypadnie taniej, niż gdyby był kupiony w zwykłym składzie węgli. Lecz i wówczas sama funkcja kupiecka nie zanika, tylko udoskonala się i przekształca społecznie. Dwustu ludzi, którzy chcą nabyć tysiąc korcy węgla, nie mogą tego robić wszyscy razem. Muszą do tego upoważnić jedną lub kilka najwyżej osób. Te osoby upoważnione będą pośrednikami, będą swojego rodzaju kupcami, ale od zwykłego kupca będzie je odróżniała odpowiedzialność przed gronem spożywców, ich mandatarjuszów. Mogą one nawet otrzymać wynagrodzenie, lecz będzie to wynagrodzenie za pracę: płaca, której zbiorowy pracodawca—związek spożywców—udzieli swojemu chwilowemu najemnikowi, a nie zysk, jaki samodzielny handlarz osiąga na swoich towarach. Wreszcie pierwiastek ryzyka został zredukowany. Nasz pośrednik nowego typu, jako chwilowy plenipotent związku spożywców, nie ponosi go zupełnie.

Analizując historję kooperatywy w poszczególnych krajach, spotykamy związki spożywców, jako zwiastuny kooperatywy spożywczej. W Anglji w końcu XVIII-go wieku, w Szwajcarji w latach 1846-1848, w Berlinie i w Belgji również w latach czterdziestych. U nas — dotąd — włościanie często sprowadzają sobie wprost z fabryk, w partjach wagonowych, nawozy sztuczne i dzielą je później pomiędzy siebie, na czym zyskują do 20% w stosunku do cen handlu detalicznego. Podobne operacje robiono w Warszawie i w innych miastach z węglem.

Związek spożywców, chociaż jeszcze nie jest kooperatywą spożywczą, ma już jedną wspólną cechę z nią, a mianowicie usuwa prywatne pośrednictwo, obliczone na zysk, i zastępuje je nową formą handlu, gdzie kupiec jest najemnikiem spożywców, którzy w ten sposób weszli w bezpośredni kontrakt z wytwórcą.

Usunięcie samodzielnego kupca-pośrednika pomiędzy spożywcą, a wytwórcą — przez zastąpienie go kupcem-najemnikiem spożywców, — oto pierwsza zasada organiczna kooperatywy spożywczej, zasada przekazana jej jeszcze przez przed-kooperatywny związek spożywców. Wskutek tego usunięcia — zysk, jaki poprzednio osiągał samodzielny kupiec i który wynikał z różnicy pomiędzy ceną fabryczną, a ceną handlu detalicznego, zostaje zatrzymany przez spożywcę. Spożywca przez zrzeszenie się *oszczędza* sobie zbytecznego wydatku na opłacanie pośredników.

Jednak nie tylko o to chodzi w kooperatywie spożywczej. Przedewszystkim zwróćmy uwagę na to, że związek taki robi operacje doraźne, jednorazowe — w kooperatywie handel odbywa się stale. Jeżeli członkowie związku zaoszczędzonego przez wspólny zakup wydatku nie chowają do kieszeni, lecz go skapitalizują, to może on być użyty na założenie kooperatywy spożywczej. Zwykle jednak poprostu wypuszcza się udziały po 5 lub po 10 rubli i za zebrane w ten sposób pieniądze zakłada się sklep spożywczy, zewnętrznie przypominający zwyczajny prywatny sklepik Taki sklep będzie więc własnością wszystkich tych, co na niego złożyli pieniądze, własnością swoich udziałowców, a subjekt sprzedający w tym sklepie będzie najemnym pracownikiem, płatnym przez właścicieli.

Jerzy Kurnatowski.

BADANIA NAUKOWE.

Cele i sposoby działalności Papieża Piusa X.

Chrystjanizm, będąc ostatecznie w rozwoju swym dziejowym nauczaniem wszystkich mieszkańców kuli ziemskiej historjozoficznych pomysłów żydowskich, wyłącznie początkowo nacjonalistycznych, a przez niego od tego nacjonalizmu zwycięzko na pozór oswobodzonych, przedstawia się nam w dwojakiej postaci: jako obowiązujący systemat wiedzy i jako wypływający z tego systematu sposób rządzenia ludźmi, czyli — ustrój społeczny.

Ten krzyk i to prężenie rozbolałe Femci, ta krzątanina kumoszek po izbie, ta „babka" w białym fartuchu — wszystko to za sprawą jego. Mąż jest—a ino patrzeć, jak ojcem będzie.

. . . .

Noc.

Pali się lampeczka przed świętym obrazem.

Partacz śpi, znużony, z rękami wspartymi na stole. Na krześle drzemie „babka" w białym fartuchu — w kołyseczce ze trzciny drzemie córuchna.

Cisza... Wszyscy śpią — tylko partaczowa ma oczy roztwarte i rękę wolno kolebeczkę trąca i cichuśko nuci:

Luli luli — niech dziecina nie płacze, jak się wyśpi — poskacze.

Cichutko śpiewa, żeby się Antek wyspał. Biedota naużywał on się przy niej przez ten dzień cały. Niech se spocznie ojciec kochany. Dziewusia zdrowa silna. Partaczowa wspomina sobie, wszystkie w życiu widziane noworodki — gdzie im tam do Zosiuni! Zosiunia jej będzie. Takie duże dziecko — a mądre! O, jak to łapiętko wygrzebała z powijaka i do buzi niesie.

Do kogo też podobna?

— Wykapany tatuś, powiedziały kumcie i babka.

A no — słuszne — na niego przecież w mentryce przepisana będzie,

Jak on to ją niezdarnie na ręce brał a jak całował, jakby się bał, że zgaśnie.

Kołderkę jej obiecał uszyć z czerwonej flanelki.

— Córuś ty moja, powtarzają pobladłe usta Partaczowej. Dzieciąteczko miłowane, krwią odkupione... Żeby to już dzień się zrobił. Obudzi się maluśkie i Antek się ocknie i do piersi matce dziecko poda i w rękę ją pocałuje, za to szczęście ojcowstwa — za ich dziecko...

Cisza... Błogość tylko przez szybki z księżycowym blaskiem wchodzi — po izbie spaceruje, nad kolebeczką trzcinową się chyli, na łóżku Partaczowej przysiada, na krawca głowę dłonie dobrotliwe kładzie.

Cisza.. O „Tamtym" Partaczowa nie myśli wcale... gdzieś przepadł w niepamięci, jak przepada oblubieniec królowej z roju pszczelego, w dobrym locie.

Cisza i radość... a kołyskę potrąca ręka matczyna.

KONIEC.

Zarówno wiedzę swą całą, jak i sposób rządzenia ludźmi Chrystjanizm wysnuł z *Księgi Świętej* żydowskiej (Starego Testamentu), uzupełnionej przez zbiór różnych utworów (Nowy Testament), wykazujących jego powstawanie dziejowe, a raczej — usprawiedliwiających samo powstanie i dostarczających mu podstaw dalszego rozwoju.

Podział *jedynej* Księgi Świętej, nazywanej *Pismem Świętem*, na dwie na pozór tak różne części, jako wynik nieodzowny powstawania i rozwoju Chrystjanizmu, nie uszczupla bezwzględnej dla niego wartości tej Księgi. Obu bowiem tym częściom przyznaje ów Chrystjanizm jednakowe znaczenie i powagę, gdyż utrzymuje, że obu ich jest jednakie pochodzenie, że obie są wyrazem jednego Objawienia i zawierają je w całości.

Stąd pochodzi konieczność obwarowania tej Księgi od wszelkiego zastosowywania do niej badań, którym zwykle podlegają wszystkie dokumenty dziejowe, jak pod względem ich pochodzenia, tak też i autentyczności. Stąd — uznanie jej wyjątkowego stanowiska nietylko wśród innych Ksiąg wogóle, lecz i wśród innych Ksiąg Świętych, których istnienie dzieje powszechne i dzieje różnych religji odkrywają. Stąd nakoniec — w Katolicyzmie, owym pniu dziejowym Chrystjanizmu, uroczysty i groźny zakaz przystępowania do tej Księgi bez poprzednich święceń kapłańskich, lub specjalnego na to od władzy kościelnej zezwolenia, oraz, już pod karą klątwy, zakaz wyrażania, w jakikolwiekbądź sposób, chociażby jak najlżejszego powątpiewania co do prawdziwości jej treści, wyjątkowego pochodzenia całości a przytym — każdej ze składających ową całość części odrębnych.

Tego specjalnego obwarowania, tego wyjątkowego uznania dokonał Kościół katolicki na Soborze w Trydencie. Oto jest uchwała, powzięta na posiedzeniu czwartym, odbytym w dniu 8 go kwietnia 1546 roku:

„...Święty Sobór, idąc za przykładem Ojców prawowiernych, przyjmuje wszystkie Księgi, zarówno Starego jak i Nowego Testamentu, ponieważ ten sam Bóg jest autorem jednych i drugich... z jednakim poważaniem i czcią jednaką". Po wyliczeniu ksiąg pojedyńczych, składających oba Testamenty, czytamy takie zakończenie: „Jeśliby ktokolwiek nie uznawał za Święte i Kanoniczne wszystkich tych Ksiąg, wraz ze wszystkim, co one zawierają, tak, jak one są przechowywane w Kościele katolickim i tak, jak są one wydane w Starej Wulgacie łacińskiej.,, niech będzie wyklętym *(anathema sit)*".

Zaledwo przeszło od czasu tej uchwały trzy wieki, gdy odkrycia naukowe uniemożebniły trzymanie się i podtrzymywanie tych poglądów na obie części Księgi Świętej. Równocześnie zaś zaszła zasadnicza zmiana w stanowisku dotychczasowym samych Papieży. Pius IX przestał być monarchą świeckim nad częścią Włoch, co uwalniając go od obowiązków, wypływających z rządzenia krajem, pozwalało zwracać całkowicie swą uwagę i poświęcać swój czas sprawom religijnym, którym wzmiankowane odkrycia naukowe poczęły poważnie zagrażać, podkopując stanowczo znaczenie i wartość Księgi Świętej, nietylko pod względem jej pochodzenia, ale i autentyczności składających ją utworów i autentyczności samego tekstu przyjętego tych utworów. Należało więc przedewszystkim z całą mocą i niepokonaną stanowczością wystąpić przeciw nauce, doprowadzającej do takich zgubnych rezultatów...

Jakoż sławny *Syllabus*, ogłoszony 8 grudnia 1864 r., jako uzupełnienie Encykliki *Quanta cura*, choć poprzedzał zajęcie Rzymu przez wojska jednoczących się Włoch (1870), jednakże już stanowczo zapowiedział ów zwrot konieczny dla istnienia katolicyzmu, przynajmniej w takiej postaci, w jakiej istniał dotychczas.

Następca Piusa IX-go, Leon XIII, nie ustępując zresztą z drogi wytkniętej przez swego poprzednika we wzmiankowanej Encyklice, w stosunku do nauk i wiedzy współczesnej, próbował sprawy społeczne, a zwłaszcza coraz się bardziej zaostrzającą walkę klas, poddać wpływom wyłącznie kapłanów katolickich. Nie mogąc atoli zaprzeczać ważności odkryć na polu krytyki biblijnej, wolał te odkrycia wszelkie poddać pod roztrząsania kapłanów i w taki sposób poniekąd pod kontrolę własną swoją, niż je bezwzględnie potępiać i rezultatom ich stanowczo, jakby z góry zaprzeczać. W tym celu wyznacza *Komisję biblijną*, której zadaniem być miało śledzenie odkryć na polu krytyki biblijnej, wydawanie w tej nauce swych sądów, zapobiegawczych krańcowym. Było to poniekąd choć nieme, wbrew jednakże uchwale przytoczonej Soboru Trydentskiego, uznanie praw rozumu ludzkiego do badań naukowych, bez względu na sam przedmiot badania. Stało się to wszelako pod koniec jego życia. Rzeczona Komisja otrzymała ostateczne urządzenie 30 października 1902 r. Leon XIII — 20 lipca 1903 r. już żyć przestał.

Wybór nowego papieża przez głosowanie zgromadzonych na *Conclave* kardynałów chylił się już, jak to wnosić należy ze składanych kart wyborczych, na stronę jednego z nich, sekretarza stanu zmarłego i sekretarza komisji biblijnej, Rampolli. W skutek atoli niespodziewanego *Veto*, wygłoszonego przez biskupa Krakowskiego, też Kardynała, Puzynę w imieniu Cesarza austryjackiego, za którego plecami ukrywał się król pruski, Wilhelm II, został, ku zdumieniu wszystkich obecnych obrany, w dniu 4-ym sierpnia, patryarcha wenecki, kardynał Sarto.

Obioru tego papieża nie waha się jeden z głośniejszych pisarzy katolickich, francuz Eugenjusz Veuillot, nazwać policzkiem wymierzonym przez Franciszka Józefa całemu *Conclave*, a zarazem „zamachem bluźnierczym na swobodę działania Ducha Świętego" (L'Univers, z dnia 23-go sierpnia 1903 r.)

Nowo obrany papież przybrał imię Piusa X.

Tego drugiego następcę Piusa IX nie zaprzątają obecnie w taki gwałtowny sposób jak to było przed półwiekiem samego Piusa IX manifestacyjne objawy żalu i troska po utraconej władzy monarchicznej nad częścią zjednoczonych w skutek właśnie owej utraty Włoch Pozbył się on też pięknych marzeń swego bezpośredniego poprzednika, nakłaniających tamtego do kierowania skutecznego sprawami społecznymi narodów europejskich. Całkowitą zato działalność tego papieża pochłania niestrudzona (zapewne za pomocą licznych oczów i usz) baczność i niepohamowana żadnymi względami postronnymi (zapewne przez najbliższe otoczenie rozdmuchiwana) żądza podtrzymania powagi i znaczenia wzmiankowanej Księgi Świętej, jako, naturalnie, jedyne go i najskuteczniejszego sposobu utrzymania stanu rzeczy, przez tę Kięgę do Europy wprowadzonego i na niej wyłącznie opartego. Wszystkie jego rozporządzenia, jako władzy religijnej, dążą do jednego celu, a mianowicie, do obrony tej Księgi od zarzutów, a raczej, do powstrzymania zarzutów, stawianych jej przez wiedzę i naukę współczesną; do zabronienia wszystkim katolikom dowiadywania się nawet o nich, zaznajamiania się z nimi; co wytwarza zasłonięcie im oczu, i zatknięcie uszu i prowadzi do cudownego przeniesienia ich w takim stanie do Średniowiecza, w samo jego centrum.

Wszystkie sposoby działalności papieża Piusa X znamionuje duch owego Średniowiecza, wyrażany w nakazach monarchicznych, zakazach policyjnych, ostatecznie zaś w miotanych przekleństwach, które zastępują w skutek wyraźnej, naturalnie, niemożliwości, palenia na stosach, po uprzednim zastosowaniu tortur, wynalezionych przez Świętą Inkwizycję.

Otóż panowanie tego papieża upamiętniają głównie *dwa dokumenty*, w lat kilka po jego obiorze

(w 1907 r.) wydane. Należą one bowiem do tych które, wytwarzając dzieje, w tych dziejach zwrot okresowy stanowią. W tym zaś wypadku dzieje Katolicyzmu przedstawiają ośrodek dziejów całego Chrystjanizmu. Katolicyzm bowiem jest najdawniejszą postacią i najbardziej znamiennym wynikiem jednostronnego jego kierunku.

Pierwszym z tych dwuch dokumentów jest Dekret Świętej Rzymskiej Powszechnej Inkwizycji (Decretum Sacrae Romanae Universalis Inquisitionis), rozpoczynający się od słów w oryginale *Lamentabili sane exitu*, któremu służą za tytuł.

Chyba najistotniejszego pojęcia o tym dokumencie dostarczy poznanie jego treści.

I. Oto jest jego początek, wykazujący jego założenie i zawartość:

„Nasz wiek, niebaczny na opłakane następstwa, pozbywszy się wszelkich wędzideł (freni impatiens) przy badaniu najświętszych nawet rzeczy, częstokroć za nowościami do takiego stopnia ślepo podąża, że zapomina o dziedzictwie rodzaju ludzkiego [1]) i wpada w błędy najgrubsze. Te błędy stają się zwłaszcza zgubniejszymi, jeśli dotykają wykładu Pisma Świętego i zasadniczych wiary tajemnic. Nad czem ubolewać tembardziej przychodzi, że nawet wśród katolików wcale nie tak nieznaczna znajduje się ilość pisarzy, którzy przekroczywszy granice przez Ojców i przez sam Święty Kościół ustanowione, po pozorem praw nadawanych im przez większe i jakoby osobiste uzdolnienie, a również ze względów niby głębszych na prawdę historyczną, podjęli się rozwoju dogmatów, co, w istocie rzeczy, jest tylko ich psuciem (eorum corruptela).

(c. d. n.). *I. Radliński.*

KRYTYKA.

Polska edycja dzieł Fryderyka Nietzschego.

(Nakład Jakóba Mortkowicza).

(Dokończenie)

Doniosłość wychowawcza przekładu pism Nietzego i znaczenie jego dla kultury polskiej wspiera się na dwu punktach: naprzód, przekład ów jest równoważnikiem pierwowzoru, a więc przenosi niejako z twórczości obcej cały rozdział odrębny do księgi piśmiennictwa polskiego; potwóre zaś, jest on równoważnikiem artystycznym, czyli, sam przez się, w obrębie piśmiennictwa naszego stanowi czyn twórczy, fundamentalny.

Odtąd dokoła głębokich dum, zwiastujących przyjście *Nadczłowieka*, osnuje się myśl polska; wysiłek ducha polskiego zakiełkuje na nieustraszonej woli mędrca, który, jak burzę nadciągającą witał swe szczęście i swobodę, wołając: „Zbyt wolno wlecze mi się wszelka mowa, — w twój wóz skaczę nawałnico! I ciebie jeszcze chłostać będę, a naglić... — Jako krzyk i zawołanie radosne popłynę po toni mórz dalekich, hen! ku wyspom szczęśliwości, gdzie przyjacioły me bawią!” W imię jego, podobnie, jak w imiona poetów, pokolenia młode przelewać będą swe ekstazy, zamiary, tęsknoty i przysięgi. Albowiem Nietzsche mistrz słowa, genjalny analityk, niewyczerpany wizjoner obrazów i symbolów, dla którego najbardziej pociągającą zagadką jest życie współczesne i dzisiejsza dusza ludzka: Nietzche jest przedewszystkim z krwi i instynktów poetą.

W przeciwieństwie do większości filozofów i uczonych, autor „Narodzin Tragedji” odwołuje się nie do samego tylko rozumu, ale do całego człowieka. Czuciowość i rozum są wedle niego jedynie narzędziem oraz igraszką potęgi utajonej, która nimi rządzi i dla swych celów używa.

Jeśli pragnie on oddziaływać na współczesnych to chce czynić to nie w drodze szerzenia swej wiedzy, swych umiejętności, słowem, chce wpływ wywierać nie przez to, co jest w nim powszechne i bezosobiste, lecz przeciwnie, działać pragnie właśnie swą osobistością, swą istotą całkowitą. Wobec społeczeństwa staje on nietylko jako myśliciel, ale i jako prorok. Stając zaś przed nim, nie mówi: „Przynoszę wam prawdę — prawdę powszechną, bezosobną, niezależną od tego, czym jestem ja sam, i przed którą wszelki rozum ludzki winien się ukorzyć”, ale przeciwnie: „Otom jest, ze swymi instynktami, z wierzeniami, z prawdami które posiadam i bez wątpienia także ze swymi błędami; taki, jaki jestem, powiadam „tak” istnieniu, wszystkim radościom jego, równie jak jego cierpieniom”. Gdy większość myślicieli dąży do pozbycia się własnej osobistości, przekroczenia granic swej jaźni, do „przeistoczenia oka swego w światło”, Nietzsche tymczasem osobowość własną czyni ogniskiem swej filozofji, jak właśnie czynią wielcy poeci i artyści, zakładający wartość wszelką na potędze i szczerości przeżycia. Dla Nietzschego życie było nieustannym poszukiwaniem samego siebie; twórczość zaś jego to głoszenie wyników owego poszukiwania. Jego zatym filozofja jest przedewszystkim dziejami jego duszy. Zaratustra, ów typ idealny myśliciela i proroka, którego oblicze duchowe rysuje Nietzsche z taką porywającą poezją, stał się jednocześnie wcieleniem jego aspiracji i marzeń, a zarazem żywym niejako dowodem i oporą jego doktryny.

Zmysł artystyczny ocknął się w duszy Nietzschego równie głęboki, jak instynkt naukowy i religijny Naprzód pociągnęła go ku sobie muzyka, której zamiłowanie było dziedziczne w jego rodzinie. Dzieckiem jeszcze będąc, płonął uwielbieniem dla wielkich klasyków muzyki niemieckiej, Bacha i Beethovena, Mozarta i Haydna, Schuberta i Mendelssohna, później także dla Wagnera, który rychło stał się jednym z najulubieńszych jego twórców. Od dzieciństwa, również, rwał się ku poezji. Siostra jego zachowała sporą wiązankę młodzieńczych utworów brata, pisanych przeważnie między rokiem 1858 a 1864, a świadczących o wybujałej wrażliwości i rzeczywistej władzy posługiwania się wierszem. W następstwie także w rozmaitych okresach życia, głównie w latach: 1877, 1882, 1884 i 1888 stworzył cały szereg poematów o treści filozoficznej najczęściej, w których jednakże śród głębi myślowej, wykwitają przecudne, tu i owdzie, obrazy pierwszorzędnych piękności poetyckich. Lecz jeśli wena poetycka nie wyschła w nim do końca, to można tym słuszniej powiedzieć, że polot wiersza przedewszystkim wpłynął na uskrzydlenie jego prozy. Znane mi są liczne zarzuty pewnych krytyków niemieckich przeciwko sławie Nietzschego, jako stylisty; rozumiem też, że cudzoziemiec z konieczności mało bywa powołany do sądzenia o stylu dzieła napisanego w języku, nie będącym jego językiem ojczystym. Niemniej, przekonywam się, że opinja niemiecka uznaje dziś niemal powszechnie wysoką wartość literacką dzieł Nietzszego. Dla Polaka, bądź co bądź, jak również zresztą dla Fracuza, jego język tak barwny a wyrazisty, taki jędrny i gibki, tak bogaty w zwroty malownicze, w określenia jakby wykute w metalu, staje się podczas czytania źródłem i sprawcą szczególnego uroku; każde zdanie Nietzchego jest, oczywiście, wytopione w tyglu sumiennej pracy, jest niejednokrotnie cenną rzeźbą, starannie, przez delikat-

---

[1]) Sądzę iż autor, czy też autorowie, mieli tu na myśli *Objawienie*.

ne dłuto wyciosaną, za pomocą sztuki świadomej swych środków i wysoce wyrafinowanej; a przecież, jednocześnie bije z nich świeżość, wdzięk, naturalność, owa niedbała, drgająca melodja siły, tak rzadko spotykana w prozie niemieckiej, zazwyczaj niezbyt dla ucha polskiego miłej z powodu ciężaru swych konstrukcji i zawiłości trybów. Styl Nietzschego jest pulsującą liryką i namiętnością: w najsubtelniejszych jego rozbiorach psychologicznych, w najbardziej oderwanych rozumowaniach, czuje się zawsze, że myśli on nietylko swym rozumem, ale całą swą istotą, i że w każdą myśl kładzie cząsteczkę samego siebie. Nie jest on tylko świetnym moralistą w rodzaju np. Amiela, niezaprzeczonego mistrza aforyzmu: Nietzche potrafi wznosić się, przy sposobności, do wyżyn najbardziej patetycznego liryzmu. Styl autora *Zaratustry*, styl zawsze o tak szerokiej skali, staje się zwłaszcza wtedy najpotężniejszym środkiem suggestji, — powiada Berent, — gdy o duszy współczesnej mowa:

„Rzuca wtedy najśmielsze linje konturów, rzeźbi najjędrniejsze bryły, nakłada najgorętsze barwy obrazów i przenośni, porywa myśl w najodleglejsze dale najzłudniejszymi mirażami symbolu, rozdziera najgnuśniejsze chmury apatji błyskawicami gniewu, płomieniem nienawiści roznieca wszystkie namiętności, niewoli wszystkie uczucia *wnętrznym żarem tonu*, płoszy je zimnymi błyskami analizy, ujarzmia wreszcie człowieka nagłym, niespodzianym cięciem w głąb, aż do najskrytszego nerwu uczuć".

Nietzsche rozkołysał gnuśną i leniwą prozę niemiecką w olbrzymie rzuty myślowej i uczuciowej potęgi, w gromową muzykę gniewnego protestu przeciwko słabości współczeznego człowieka, płynącej z wewnętrznej *anarchji* życiowych jego instynktów, nadewszystko zaś uderzył w ton protestu przeciw zadatkom niewoli, tkwiącym w duszy niemieckich swych współrodaków. Nietzsche w rozzuchwalonych pogromcach z pod Sedanu przejrzał dusze — niewolników, które w posłuchu żelaznym legną u stóp despoty. Nie wahał się wystąpić wbrew całemu narodowi. Nazajutrz po założeniu nowego Imperjum, gdy armje niemieckie, upojone krwią, wracały z pola zwycięztw z okrzykiem „Bóg z nami!"—on głosił swą głęboką wzgardę dla chrystjanizmu. W okresie, gdy wiarą powszechną wszystkich Niemców, od czasu Hegla, było przekonanie, że państwo jest podstawą bytu jednostki, oraz jej usprawiedliwieniem, on głosił chwałę jednostki, i wypowiadał zdania nader sceptyczne co do znaczenia roli państwa ze stanowiska zadań kultury. W okresie, gdy wszędzie powtarzano, że prawdziwym zwycięzcą z pod Sadowy i Metzu był nauczyciel wioskowy, i że kultura germańska pokonała kulturę francuską, on twierdził wręcz, że kultura niemiecka wcale nie istnieje, gdy tymczasem Francja rzeczywiście posiada kulturę narodową; że Niemcy, będąc i pozostając nadal „barbarzyńcami", popełniają największy błąd, podając się za naród ucywilizowany; że zwycięztwa r. 1870, utwierdzając ich w tym złudzeniu, mogą stać się nieszczęściem dla zwycięzców i „zabić ducha niemieckiego w ofierze niemieckiemu cesarstwu".

Sladem pielgrzymich kroków Zaratustry, pod subtelnym i natchnionym piórem tłómaczy, wznosi się dzisiaj prastara mowa polska do wyżyn, jakich zrzadka jedynie w ciągu wieków udawało się jej dosięgać, poza poezją, w romantycznym tego słowa znaczeniu. W bezcennych atoli jej pokładach spoczywały wszystkie pierwiastki, aby godnie w majestat dumy oblec najtajemniejszy sen i najgłębszą tęskotę Nad-Człowieka. Dość było tylko dotrzeć do jej rdzenia, do jej wewnętrznej treści, i swobodną dłonią uderzyć po jej strunach złotych i spiżowych.

Czyli nie z tych-że strun powstała przed półwiekiem ogromna pieśń wiary w nadludzkiego Boga, o „lubi huczny lot olbrzymich ptaków, a koni rozhukanych — nie kiełza", i którego czyn wielki ubłaga łatwiej, niźli łza próżno „stracona przed kościoła progiem?"

I w istocie rozdziały pewne w przekładzie Berenta: *Tako rzecze Zaratustra* dzwonią jakowymś echem głębokiej lechickiej zadumy, na którą niewiadomo, czy złożyła się *anamnesis* polskości w duszy Nietzschego, czy też *przeczucie* nadczłowieczeństwa i nietzscheanizmu w duszy polskiej.

To pewna, że dusza polska ta „niełacna i krnąbrna, sama siebie szaleństwem chłoszcząca, samej sobie nieznana i nikomu niewiadoma", z duchem *Zaratustry* nie jedną zetknie się granią swej wielościennej osobowości, a mowa polska była nad inne uzdolnionia do pochwycenia i zamknięcia w sobie szaleństwa człowieka, „gdy w nim się święta duma wyosobni". Ale też, być może, żadna w równym stopniu, co polska, nie była tego posiewu myśli orlej spragniona: jak w głuchym morzu, na dnie, drzemały w niej kruszce i perły, czekając ręki mistrza, którąby je dobyła na światło powierzchni i zaklęła w nową budowę.

Tą budową stały się pisma Nietzschego. Wysokim, zwartym murem podeprą zarysowane, od chwilowej słabości pochylone, sklepienie ducha polskiego.

Nietzsche, patrząc na świat surowym wzrokiem pesymisty, istnienie ludzkie pojmował, jako h e r o i c z n ą w a l k ę p r z e c i w k o w s z e l k i m b ł ę d o m i z ł u d z e n i o m. Przyroda jawiła mu się jako potęga groźna, często złoczynna; historja wydawała mu się „brutalną i pozbawioną rozumnego znaczenia". Wzbrania on sobie ulegać pokusom pospolitego optymizmu; nie chce poddawać się uwodnym podszeptom, wmawiającym w człowieka, że wszystko dzieje się dobrze na tym najlepszym ze światów; nadewszystko zaś odtrąca on naiwną wiarę w to, iż życie zdolne jej dać nam jakąkolwiek chwilę prawdziwej radości, odrzuca precz od siebie uwodzicielskie pozory szczęścia, którym tak chętnie ufa większość ludzi. Posłannictwem człowieka wyższego jest więc walka nieubłagana ze wszstkim, co „złe", rozpraszanie błędów, zdzieranie zasłon ze wszelkich wartości kłamnych, powierzchownych, bezlitosne tępienie małodusznej, nikczemnej obłudy i wszelkich kłamstw cywilizacji: „Marzę,—pisał, — o zrzeszeniu ludzi bezwzględnych i całkowitych, nie znających żadnych zastrzeżeń, o ludziach, którzyby sami nadali sobie miano „burzycieli"; poddawaliby oni wszystko swej krytyce i sami poświęcaliby się w imię prawdy. Trzeba, ażeby wyszło na jaw to, co jest złe i kłamne! My nie chcemy budować nim nastanie pora; nie wiemy czy budować będziemy mogli kiedykolwiek i czy nielepiejby było nie budować wcale. Istnieje pewien rodzaj pesymistów — leniwych, pełnych rezygnacji, — ale my nie jesteśmy z ich liczby".

Ideał, który przedkłada naszemu podziwowi i naśladownictwu, jest to „człowiek według Schopenhauera", który wie, że prawdziwe szczęście jest niedostępne, który nienawidzi i lekceważy dobrobyt materjalny i gruby, wystarczający masom, który burzy to wszystko, co jest godne zburzenia, niedbając na własne cierpienie, i obojętny dla cierpień, szerzonych przez się dokoła, wsparty w swym pochodzie bolesnym jedynie o swą niezłomną wolę, o swą wolę i postanowienie dochowania szczerości i prawdy samemu sobie za wszelką cenę.

Atoli zamiast wnioskować stąd, jak czyni Schopenhauer, o konieczności zaprzeczenia w o l i ż y c i a, Nietzsche szanuje i wielbi, wzorem Grecji djonizyjskiej, tę Wolę w wiecznym rozkochaną życiu, i wszelkimi środkami ją usprawiedliwia. Jest on pesymistą, tylko że na podstawie pesymizmu dochodzi nie do rezygnacji, ale do konieczności h e r o i z m u; ascetyzm zaś uważa on nie za ideał, lecz za oznakę znużenia, wyczerpania żywotności. „Pesymizm—utrzy-

muje Nietzsche — w zastosowaniu praktycznym jest niemożliwy i nie może być logiczny. Nie-byt nie może być celem". I w konsekwencji, miast, jak wszyscy pesymiści, głosić oderwanie się od życia, ucieczkę, tęsknotę za *nirwaną*, mieni on „dobrym" to, co sprzyja w człowieku spotęgowaniu się żądzy życia i rozwoju, to co istnieniu przysparza o jeden cel, o jeden urok więcej, to wszystko, co życie czyni godniejszym co czyni je bardziej wartym przeżycia.

Czyż trzeba dowodzić ożywczości tego prądu myśli — w zastałej, nieruchomej atmosferze naszych omdlewających usiłowań i skamieniałych ruchów? Trzebaż wykazywać potrzebę płomiennego kultu ześrodkowanej w sobie i potężnej woli indywidualnej — w naszym rozbitym i skołatanym społeczeństwie, gdzie każdy zamiar, ledwie poczęty i wyrażony, już łamie się na tysiąc sprzecznych druzgów i przepada bez echa w nicość, z której się wyłonił? I wreszcie któż zaprzeczy, że u nas brak właśnie owego pesymizmu, który rzeczy waży nie wagą pozorów, ale miarą ich wartości istotnej, owego pesymizmu, który jest posępną umiejętnością i odwagą spoglądania prosto w oczy tragizmowi życia, mierzenia się twarzą w twarz z grozą wypadków?

Płytki optymizm, istotnie, zalewa nas ze wszech stron; ten optymizm polega na bezwzględnym usuwaniu z pola widzenia swego wszelkich zagadnień, mogących spowodować potrzebę natężenia myśli, woli, potrzebę zrodzenia czynu. Na jego tle powstała i już zdążyła się utrwalić osobliwa formacja arystokratyzmu, który wielkość swą i wyniosłość zakłada stale na tym, aby czegoś poniechać, aby się od czegoś powstrzymać, przy najwyższym zaś wezbraniu energji — aż głośno zaprotestować!

Przeciwko takim to właśnie „formacjom" duszy społecznej zwraca się filozofja Nietzschego, filozofja nauczająca, w jaki sposób „krytykować uderzeniami młota".

A, jeszcze, czyż trzeba wspominać o sieciach obłudy, przeżerających nasz organizm narodowy, i o tych stosach skamieniałości, jakie piętrzą się na drogach jego postępu? O najwyższej, jedynej, wiekowej sankcji, którą więzom tym i tym skamieniałościom daje spospolitowana, wprzągnięta w jarzmo dzisiejszego ekonomizmu religja?

Prawdziwa, niewstrzymana myśl Nietzschego przejść może po tych gruzach przeszłości jak ogień; rozlać się po nich może, jak pożar, w którym kamień pęka i krata żelazna się topi, ale myśl nabiera tylko blasków rubinowych na skronie i piór ognistych w nieśmiertelne skrzydła!

W oczach Nietzschego s z c z e r o ś ć była tym orężem, tą siłą rewolucyjną, która dokona przewartościowania żywiołów społecznych; potędze przywróci cześć i piękno, a prawdzie i pięknu przywróci — rzeczywistość potęgi.

Powodowany nieprzepartym instynktem prawości umysłowej, Nietzsche wcielał wiarę najgłębszych przekonań swych w życie: nie istniał dlań przedział między życiem a myślą. Doszedłszy do radykalnego zwątpienia o wartości chrześcijaństwa, *żył* on ateizmem tak, jak inni *żyją* wiarą w Boga. Ateistą, zaś, rzec można, stał się wskutek głębokiego ujęcia religji, dlatego też był nim bez rozpaczy i bez zgryzoty serca. „Wiemy dziś, — mówił — jaka w rzeczywistości siła pokonała Boga Chrześcjańskiego: zwyciężyła go właśnie moralność chrześcjańska, pojęcie szczerości, stosowane do zjawisk religijnych ze wzrastającą coraz ścisłością; zwyciężyło go sumienie chrześcjańskie, wyostrzone w konfesjonałach, sumienie, przeistoczone i wzniesione do wyżyn sumienia naukowego, czystości duchowej, za wszelką pożądanej cenę". Owo sumienie pogłębione, ów zmysł prawości umysłowej kazał rozbierać mu, cegła za cegłą cały gmach świata starego, na wierzeniu w istnienie Boga oparty. Przestał on wierzyć w dobroć i porządek opatrznościowy przyrody; przestał dostrzegać w dziejach świadectwo mądrości bożej i poszlakę woli moralnej, rządzącej losami ludzkości. Obalał wszelkie wierzenia, które w ciągu wieków, bywały mirażem człowieka, wszelkie ustalone przezeń wartości. Postanowiwszy przemyśleć aż do końca swą myśl, podał w wątpliwość moralność, nawet samą prawdę: stawił on pytanie, do jakiego stopnia należy dobro przekładać po nad zło, prawdę po nad błąd. I w miarę, jak coraz dalej zagłębiał się w przeczenie, jednocześnie rozpoznawał coraz wyraźniej cel ostateczny, do którego dążył, i kształtował z coraz większą jasnością swą odpowiedź osobistą, indywidualną na pytanie co do treści życia: „W s z y s c y B o g o w i e u m a r l i: c h c e m y t e r a z, a b y ż y ł N a d c z ł o w i e k".

Nietzsche, w ten sposób, tracąc swego Boga, odnalazł — samego siebie: czyni trafną uwagę o istocie procesu tego Henryk Lichtenberger, autor zwięzłej monografji o „Filozofji Nietzschego". [1])

Lecz dalsze rozwinięcie tego tematu byłoby już wkroczeniem w rozbiór zasadniczy wielorakiej wartości dzieł Fryderyka Nietzschego, będący udziałem historji filozofji. A ja chciałem wszak powiedzieć tylko to: ukazała się polska edycja dzieł genjalnego poety i myśliciela — czytajcie więc! Znajdziecie w nich m y ś l s ł o n e c z n ą samotnego, z gór przybyłego mędrca, wtopioną w kryształowy puhar p o l s z c z y z n y.

* * *

Dla czytelnika, zapewne, rzeczą zbyteczną nie będzie wyliczenie w szeregu kolejnym wszystkich tomów, obejmujących w wydaniu J. Mortkowicza polską edycję dzieł Fr. Nietzschego Liczby, stojące obok tytułu oznaczają datę powstania dzieła:

T. I. „Tako rzecze Zaratustra". (1883 — 1885). Cztery części. Przełożył Wacław Berent.

T. II. „Poza dobrem i złem". (1886). Przeł. St. Wyrzykowski.

T. III. „Z genealogji moralności". (1887). Przeł. Leop. Staff.

T. IV. „Dytyramby Djonizyjskie". (1888). Przeł. St. Wyrzykowski.

T. V. „Zmierzch Bożyszcz". (1888). Przeł. St. Wyrzykowski.

T. VI. „Wiedza radosna". (1881 — 1882). Przeł Leop. Staff.

T. VII. „Jutrzenka". (1880 — 1881). Przeł. St. Wyrzykowski.

T. VIII. „Antychryst". (1888). Przeł. Leop. Staff.

T. IX. „Narodziny Tragedji". (1869 — 1871). Przeł. Leopold Staff.

T. X. „Ludzkie, arcyludzkie". (1876 — 1877). Przeł. K. Drzewiecki.

T. XI. „Wędrowiec i jego cień". (1879). Przeł. K. Drzewiecki.

T. XII. „Wola Mocy". (1888). Przeł. St. Frycz i K. Drzewiecki.

Suplement — „Ecce Homo". Autobiografja. Przeł. Lepold Staff.

* * *

A oto lista niektórych dzieł, oświetlających życie i twórczość Fr. Nietzschego:

E. Foerster-Nietzsche: „Das Leben F. Nietzsche's".

G. Brandes: „F. Nietzsche. Eine Abhandlung ueber aristokratischen Radicalismus".

A. Riehl: „F. Nietzsche, der Kuenstler und der Denker".

H. Vaihinger: „La philophie de Nietzsche".

A. Kalthoff: „F. Nietzsche und die Kulturprobleme unserer Zeit".

---

[1]) Bibliothèque de philosophie contemporaine, Paris; Felix Alcan.

A. Fouillée: „Nietzsche et l'Immoralisme".
R. Richter: „F. Nietzsche. Sein Leben und sein Werk".
H. Lichtenberger: „La philosophie de Nietzsche".
E. Faguet: „En lisant Nietzsche".
A. Drews: „Nietzsches Philosophie".
Po polsku:
W. Berent: „Źródła i ujścia Nietzscheanizmu".
St. Brzozowski: „Fryderyk Nietzsche". Djalogi.
J. Kurnatowski: „Nietzsche". Studja.

W. Rzymowski.

Marja Kościelska: **Snoby**. Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1911 r.

Powieść p. Kościelskiej pisana jest w formie dosyć oryginalnej, coś w rodzaju komedji niescenicznej. Osobiście nie lubię takiej orginalności. Zazwyczaj autorzy nie posiadający nerwu scenicznego piszą dramaty niesceniczne, forsując tę „nową formę" literatury polskiej na pierwszorzędne stanowisko. Zbyteczne dodawać, że wysiłki te nie są uwieńczone powodzeniem. Rzecz pisana dla teatru musi posiadać te walory, które jej dają prawo istnienia bez karkolomnej protekcji. I odwrotnie! Powieść pozbawiona opisowości, bez refleksji autora i jego oficjalnego stanowiska jest utworem, który usprawiedliwić może tylko szczery talent.

P. Kościelska zapewne czując dobrze, że zamiary przerastają siły — postarała się o jaknajwyszukańszą prostotę formy i znalazła ją tam, gdzie prostota graniczy z nędzą wyjątkową. Nie zależnie jednak od tego, że przedewszystkim powieść p. Kościelskiej powieścią nie jest, należy się zastanowić, co się mieści na 175 str. jej utworu. Otóż ze smutkiem należy stwierdzić, że w pierwszym rzędzie — gadulstwo!

Kobiety „chwytające za pióro" — nietylko do smarowania przypieczonej kaczki ale i w celu „przysporzenia literaturze nowego dzieła" nie zostawiają w kuchni i sypialni swego usposobienia. Jestto przecież niemożliwością. Zatym wszystkie te oznaki kobiecości, zachwycające feministów, a także i lubieżnych zwolenników „sztuki dla sztuki" znajdują swój wyraz w utworach powieściowych. Naprzykład bardzo to jest przyjemne, gdy młoda kobieta potrafi się wykwintnie ubrać, ale zgoła bolesne, gdy ta sama urocza niewiasta pisze w swojej powieści: „Felisia była odziana w dekoltowane suknie z wiśniowego, miękkiego atlasu *liberty* przybrana koronkami *alançon* Albo: Elzia już wystrojona w jasną sukienkę *gris perle* przybrana islandzkimi koronkami". Doprawdy wzruszający jest widok ślicznego dziewczęcia, które przekonanawszy się o zdradzie narzeczonego woła załamawszy ręce: Boże! nic mi nie pozostaje, jak tylko wstąpić do klasztoru" ale jakże przykro jest czytać powieść, której autorka zdradę narzeczonej, uważa za największą zbrodnię na świecie. Jakże rozkoszne są spacery w pięknych ogrodach o zmierzchu, kiedy śliczne usta kobiece z czarującą naiwnością mówią niedorzeczności; a jak inaczej te same naiwnosci wyglądają złożone trzcionkami obojętnego składacza. Niema w nich czaru nocy księżycowej, ani rozbrajającego śmiechu, dla którego meżczyzna z lekkim sercem przebacza wszystkie głupstwa i jeszcze udaje, że sam siebie uważa za winowajcę.

Książka, jest dokumentem myśli i uczuć autora jego wierzeń i namiętności, jego ideałów i tęsknot, wyszedłszy z tłoczni, staje się własnością publiczną i każdy ma prawo przyjść i zobaczyć jaki jest ten, który tę książkę napisał. Dlatego ja, przeczytawszy „Snobów" p. Kościelskiej mogę powiedzieć otwarcie że autorka tej „niescenicznej komedji" — odnosi się do swych postaci, doskonale zresztą podpatrzonych, tak jak odnosi się zapewne w życiu, jeżeli względy towarzyskiej natury nie przeszkadzają w szczerości. Krótkowidztwo uczucia kobiecego jest tu doskonale reprezentowane. Ta pani Orcholska jedyna przedstawicielka uczciwości, pozbawionej snobizmu, jest wzruszająca swoją naiwnością bez granic. Z drugiej strony sympatja autorki dla Elzi, głupiej panny na wydaniu, bez najmniejszych oznak osobowości jest cudownem „pandant" do prowincjonalnej naiwności damy „własnymi paluszkami robiącej rysunek do „Tygodnika Mód". Cała książka niezależnie od pewnej dozy ironicznego sarkazmu przepojona jest tą czułostkową dobrocią dziewczynki o złotym sercu, która uwalniając muchę z pajęczyny, rzuca w zamian pająkowi okruszynę cukru. Dla p. Kościelskiej istnieje ten świat, który widzi, z którym się bezpośrednio styka. Nie można zaprzeczyć, że potrafi podpatrzoną figurę zręcznie nakreślić. Nie pogłębia ją jednak wcale, ani nie stara się również o wyposażenie swoich „bohaterów" w silniejszą dynamikę uczuć.

Zalewa ich gadulstwem, w którym od czasu do czasu błyśnie udatny frazes, lub lekko skonstruowany aforyzm; poza tym dosyć pospolita szarość.

St. Kiedrzyński.

NA DOBIE.

O gubernję łódzką.

Sprawa ta, poruszona obecnie prawie we wszystkich pismach i oświetlana rozmaicie, ma głębsze znaczenie i powinna żywo ob chodzić nietylko przedstawicieli przemysłu wielkie go, ale także tysiące ludności pracującej. Z tego, że fabrykanci bardzo popierają ten projekt, nie można jeszcze wnosić, że nowa reforma administracyjna będzie wodą na ich młyn z krzywdą warstw robotniczych. Co innego niedoszłe do skutku „gradonaczalstwo". O tę formę władzy administracyjnej w swoim czasie fabrykanci czynili zabiegi, pragnąc utrzymać nadal w innej formie stan wojenny. Natomiast są płonne obawy, że wprowadzenie gubernjalnych władz a dministracyjnych i sądowych w Łodzi będzie uskutecz nieniem tego, o co przed paru laty starali . się bezowocnie fabrykanci. „Gradonaczalstwo" — jest to władza absolutna, niemal dyktatura jednostki, jak np. Tołmac zowa w Odesie! Rząd gubernjalny i władze sądowe, to wręcz co innego. Gubernator nie posiada tych praw wyjątkowych, co „gradonaczalnik", wyraziciel ab solutyzmu miejscowego i jedynej w państ wie rosyjskim dopuszczalnej formy „autonomji". Władze gubernjalne, o ile chcą być w porządku, zawsze są zależne od władz centralnych i przynajmniej w sprawach zasadniczych nie mogą działać samodzielnie; nie mogą być doraźnymi prawodawcami.

Dla tego też wprowadzenie rządu gubernjalnego w Łodzi nie grozi niebezpieczeńst vem dla warstw pracujących, przeciwnie, nawet, w wielu wypadkach może to być dla nich korzystne. Jurysdykcje gubernjalne, inspektor fabryczny, gubernjalny, wreszcie władze administracyjne na miejscu mogą nieraz ułatwić robotnikom i pracownikom wszelkich kategorji rozstrzyganie spraw zawiłych bez straty czasu i kosztów na jazdy do Piotrkowa. Poza tym, biorąc ogół życia, całe terytorjum, stanowiące tak zwany łódzki okrąg przemysłowy, może zyskać pod każdym względem na ustaleniu władz gubernjalnych w Łodzi, gdyż to przyśpieszy bieg interesów ekonomicznych, krępowanych i hamowanych odległością władz, stanowiących zawsze aparat wielce powolny. Nie dla jednej więc tylko klasy fabrykantów wprowadzenie w Łodzi administracyjnych władz gubernjalnych będzie dogodnością. Jeżeli zaś chodzi o „dłoń żelazną", to

ostatnie lata wymownie nam dowiodły, że Łódź w razach nadzwyczajnych nie jest pozbawioną opieki wyjątkowej, nawet pomimo odległości władz gubernjalnych.

Szekspir—żydem.

W Londynie niedawno temu ukazała się ciekawa książka, zawierająca autobiografję Szekspira, odnalezioną szczęśliwym przypadkiem. Wedle rzeczonego dokumentu, rzucającego pożądane światło na genjalnego twórcę dramatów i tragedji, okazuje się, że autor nieśmiertelnego monologu „to be or not to be" był pochodzenia żydowskiego.

Tryumfuje z tego powodu prasa żargonowa w Warszawie, otwierając naoścież przed cieniem wielkiego współwyznawcy ulice i zaułki Nalewek, Gęsiej, Dzikiej i Muranowa!

Nastręcza nam się pewna uwaga sceptyczna:—pewne przypuszczenie co do istotnej postawy żargonowców wobec najwybitniejszych typów swej rasy:

— Gdyby Szekspir dziś jeszcze był pośród żyjących i pisał po angielsku, czyżby go ta sama prasa żargonowa nie obrzuciła gradem zniewag i potępień, jak potępia i znieważa Nusbaumów, Askenazych i Dicksteinów?

Pan Dworzaczek, czyli: Cnoty Prostaczka.

P. Ignacy Dworzaczek należy do tych ludzi, którym dyplom uniwersytecki, jeżeli go posiędą, daje prawo zapomnienia o wszystkim, czego się na ławie szkolnej uczyli.

— „Ponieważ skończyłem uniwersytet, więc jestem niezaprzeczenie człowiekiem wykształconym, — rozumuje pan Ignacy — nie powiem jednak, aby tak wysoki poziom umysłowy, jakiego ja dosięgłem, dawać mógł szczęście. Nierównie bardziej pociąga mnie ów ideał pierwszych chrześcijan, którzy szli, zaszyci w skóry baranów i owiec, na pożarcie dzikich zwierząt. O! ileżbym dał dzisiaj za skórę barana! Jakże bosko dzisiaj czułbym się w skórze barana! Dusza moja, zbywszy próżnych trosk, nareszcie poczułaby się u siebie! Z rozrzewnieniem myślę o tych czasach, kiedy „Chrystjanizm stawiał na piedestale doskonałości cnoty ludzi gorejących miłością Boga bez względu na stopień umysłowego wykształcenia". [1]) Wówczas snadnie „prostaczek stawał się świętym pańskim, przed którym mędrkowie i mocarze świata zginają kolana". [2])

Tu rozmyślania pana Ignacego rozżarzyły się w namiętną modlitwę:

— Boże, wysłuchaj mnie! — wołał szeptem żarliwym. — A ty święty Ignacy Lojolo, patronie mój, wstaw się za mną, abym był wysłuchany. Uczyń mnie Panie takim prostaczkiem! ja ci dyplom swój złożę w ofierze! ja się zrzeknę swego świetnego wykształcenia, — wierzaj, że mi to z łatwością przyjdzie: tylko niechaj mędrkowie i mocarze świata zginają przedemną kolana! Będę prostakiem, analfabetą, nędzarzem umysłowym, zerem doskonałym, ale niech oni wszyscy, mędrkowie i mocarze, przedemną zginają kolana, albo, w przeciwnym razie, Ty Boże, porazisz ich piorunami, aby radowało się w pokorze serce sługi Twego Ignacego Prostaczka".

To rzekłszy, westchnął z głębi niekojonych tęsknot, zjadł kolację, przeżegnał się — i zasnął.

I wtedy to zapewne, w głębokim śnie, zdawało mu się, że nietylko krytykuje Nietzschego, z którym zapoznał się na podstawie aforyzmów, zamieszczonych w N-rze zeszłym naszego pisma, ale, że go nawet — rozumie.

„Biedny człeczek! — rzekłby o nim inny genjalny aforysta, Hebbel, oglądając p-na Dworzaczka przez mikroskop: ugina się pod ciężarem cnót, nie wiedząc, iż nic niema wstrętniejszego nad obraz cnoty w duszy pospolitej. Biedny, zaprawdę, po trzykroć! Nie brak mu nawet tej najdziwaczniejszej z cnót, jaką jest skromność: będąc zerem, mniema, iż stanie się czymś, jeżeli się przyzna: — jestem zerem".

1) P. „Dziennik Powszechny" — „Monopol cnoty" z dn. 15—VIII.

2) Tam że.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* W Galicji weszła na porządek dzienny sprawa wielce doniosła i niezmiernie trudna: uregulowanie stosunków z Rusinami. Gdby się to udało, kamień ciężki spadłby z piersi narodu, jak się ktoś wyraził. W sprawie tej, ostatnio, niepowołany i nieproszony zabrał głos profesor Wszechnicy Krakowskiej Marjan Zdziechowski, człowiek podobno pod względem charakteru nieskazitelteny, ale umysłowo dotkliwie ograniczony, jak to mieliśmy sposobność przekonać się z kilku jego występów publicznych oraz wielu prac literackich równie obszernych jak jałowych. Jest to klerykał, wstecznik i fanatyk wiary w kościół katolicki, dochodzący na punkcie jego posłannictwa aż do mistycyzmu. W artykule, jaki podała *Gazeta Narodowa* dowodzi katolicki ów profesor, że naród ukraiński, ściśle rzeczy biorąc, wcale nie istnieje, że rozwija się w tym kierunku tylko ruch polityczny i nadomiar antypolski, że słowem, Rusini przeciwstawiający się ostro i stanowczo Polakom, tracą wobec Rosjan wszelką odrębność i w granicach Rosji zwijają sztandar swej samodzielności narodowej. Lepiej przeto, wywodzi p. Zdziechowski, szukać porozumienia z innymi grupami Rusinów galicyjskich i wskazuje grupy konserwatywne, jako ogniwo i pomost do zawarcie ugody. Artykał tchnie prądem skrajnej reakcji. W całej prasie postępowej spotkał się ze zwartym oburzeniem. *Kurjer Poranny* wprost nie zawahał się artykułu tego nazwać „sukursem" dla działaczy „wszechrosyjskich" z obozu *Now. Wremi*, którzy, jak wiadomo, z uporem odrzucają wszelką myśl o przebudzeniu się i rozwoju świadomości narodowej na Ukrainie. Wszelako działacze ci, opierają się nie na argumentacji, ale na przewadze centralistycznej polityki państwa. Lecz profesor Wszechnicy Krakowskiej? — Ten wiedziećby nakoniec powinien, że o samopoczuciu narodowym. Ukraińców nie może stanowić ani Petersburg ani Kraków, ani Warszawa. Jedna tylko Ukraina roztrzygnąć pytanie swego bytu narodowego jest władna! Skoro ona poczuje się narodem nie pomogą ani dekrety ministrów ani wyroki profesorów.

* *„Teatr natury" w Ojcowie.* W przedostatnim numerze *Tygodnika Illustrowanego*, p. Jan Lorentowicz, podnosi niedocenioną, choć niezbyt dla ogółu dostępną, z powodu złej komunikacji, piękność przyrody Ojcowa i rozwija trafną, rzuconą przez siebie, myśl stworzenia w Ojcowie „teatru natury".

Teatry takie od lat kilkunastu istnieją i prosperują na Zachodzie Europy. Założono je lub grywano wogóle na otwartym powietrzu w Bussang, Orange, Béziers, Marsylji, Avignonie, Nimes, Bayonnie, Arcachon, Luchon we Francji i w Szwajcarji pod Lozanną, w Brugg pod Zurychem, w Hertenstein pod Lucerną, w Niemczech w That w Górach Harzu, dalej pod Magdeburgiem, pod Monachjum, a w Belgji w opactwie Saint Vandrille, teatr Maeterlincka, i w innych miejscowościach.

O stworzeniu teatru natury u nas p. Lorentowicz pisze, co następuje:

„I u nas, w Polsce, posiadamy prześliczny teatr pod gołem niebem w Łazienkach. Niestety, to czarujące arcydzieło jest zupełnie zaniedbane, bo przecież możnaby tej scenie przeznaczyć inny los, niż wystawianie raz na trzy lata „Wesela w Ojcowie".

Tymczasem jest nadzieja, że pierwszy teatr natury da się zorganizować w Korytanji ojcowskiej. Bliskość Krakowa podsunęła myśl, aby właśnie rzecz całą zorganizował dyrektor Solski. Jest on jak wiadomo, nietylko świetnym artystą, nietylko najwybitniejszym polskim reżyserem, ale człowiekiem żelaznej woli i niepożytej energji. Gdy mu projekt mój zakomunikowałem, przyjął go entuzjastycznie. „Dziękuję — pisał — bardzo serdecznie za rzuconą myśl, która odrazu trafiła do mego przekonania. Podejmuję ją z całym zapałem i dołożę wszelkich usiłowań, aby ją urzeczywistnić"- W kilka dni potym dyr Solski przyjechał do Ojcowa, aby zbadać teren. Rozejrzał się szczegółowo w Korytanji i wybrał na widowisko część jej środkową, posiadającą nietylko wspaniałe tło, doskonałą akustykę, ale i amfiteatralnie położone zbocza, na których wystarczy urządzić najprostsze ławy dla widzów. Solski postanowił grać bez żadnej sztucznej sceny ale wprost na ziemi, trawą porosłej. W repertuarze przewidziane są wielkie dzieła klasyczne (np. świetnie wystawiona w Krakowie „Oresteja"); ale i Wyspiański mógłby na takiej scenie święcić niesłychane tryumfy.

Projekt powyższy z uznaniem i pochwałą przyjęła prasa Warszawska. *Goniec* zaś zaopatruje go w następujący słuszny i pełen aktualności komentarz:

Życzymy projektowi p. Lorentowicza i inicjatywie p. Solskiego jaknajwiększego powodzenia, ale nie możemy nie przypomnieć, że sprawa komunikacji ma wogóle dla Ojcowa, a specjalnie dla tego projektu pierwszorzędne znaczenie, a drogi z Olkusza do Ojcowa nie zapomni zapewne nikt, co ją choć raz w życiu przebył. Obecny właściciel Ojcowa, ks. Czartoryski, jest dość bogaty, by temu zaradzić, gdyby miał jakieś co do Ojcową projekty, gdzie do stworzenia letniska na stopę europejską trzeba krociowych nakładów. Wtedy urządzenie dobrej drogi bitej, odpowiedniej do regularnego kursowania np. samochodów, mogłoby się zupełnie opłacić. Ale o ile nas doszły, może mylne, wieści, właściciela Ojców jaknajmniej obchodzi. Zresztą magnatów naszych trudno posądzić o jakieś zamiary, których urzeczywistnienie mogłoby być korzystne dla ogółu. Wyjątki są nader rzadkie.

* Ubóstwo duchowe *Dziennika Powszechnego* przekroczyło miarę nawet tej szerokiej i pobłażliwej tolerancji, jaką dla wybryków wojującego klerykalizmu ma ugodowe *Słowo*. Niewątpliwie na obniżenie skali umysłowej, i tak już mizernej. tego pisma wpłynął p. Dworzaczek, który po ks. Skimborowiczu objąwszy tekę redaktora, chce pokazać, że acz człowiekiem jest świeckim, w nieuctwie przewyższa nietylko księdza, ale i organistę. W artykule „Polemika nieoczekiwana" (N 221) p. A. D. odgradza się od nieproszonych komentarzy ze strony *Dziennika Powszechnego*, twierdząc, że *Słowo* przeznaczone jest wyłącznie dla czytelników inteligentnych, więc na zaczepki *Dziennika* odpowiadać będzie tylko— milczeniem.

KRONIKA.

NOWA PLACÓWKA POLSKA. W Grudziądzu w Prusach Zach. odbyło się zeszłego tygodnia poświęcenie i otwarcie obszernego gmachu pod nazwą — „Bazar".

Ta nowa polska instytucja posiada wspaniałe pomieszczenie z olbrzymią salą, przewyższającą co do objętości znacznie salę „muzeum" w Toruniu.

STATYSTYKA WYDAWNICZA WILNA. W Wilnie w r. 1910 ym wydawano ogółem 40 pism, z których: 16 w języku rosyjskim, 11 polskim, 6 litewskim, 2 białoruskim, i 5 gazet żydowskich. Książek i broszur wydano około 1000.

Tłoczni w Wilnie było 38, zakładów kamieniorytniczych 5, tłoczni pośpiesznych 15, księgarń 50, składów nut 3, księgarń sprzedających wyłącznie wydawnictwa petersburskie 3, wypożyczalni książek i czytelni 10.

PIERWSZY POMNIK MICKIEWICZA NA LITWIE. W majętności p. Bażeńskiego, dzięki jego czynowi obywatelskiemu, powstał pierwszy na Litwie pomnik A. Mickiewicza, dłuta artysty krakowskiego p. Kazim. Ulańskiego.

Pomnik ów z białego kamienia stanął na Żmudzi na tle uroczego parku w Burbiszkach.

POLACY NA BUKOWINIE. Bukowina liczy niespełna 805,000 miesz. W tym mniej niż 300,000 Rumunów — tubylców części południowej, dalej z górą 300,000 Rusinów — pramieszkańców części północnej, przeszło 50,000 Polaków od pięciu przeszło wieków tu osiadłych, w końcu przeszło 100,000 żydów i 60,000 Niemców zaledwie lat temu 100 tu osiadłych,

W stolicy Bukowiny — Czerniowcach mieszka z górą 12,000 naszych rodaków. Polscy górale i mieszczanie są wielce pokrzywdzeni pod względem szkolnictwa. Zato najeźdźca — Niemiec — panoszy się butnie na wszystkich tamecznych placówkach życia publicznego.

Działa tu T. S. L. z Galicji, a od r. 1908-go powstało na Bukowinie kilkanaście polskich kółek rolniczych.

Prócz tego działa tu, „Sokół". A w Czerniowcach Polacy wydają tygodnik p. n. *Gazeta Polska*,

ZGON. Zmarł w naszym mieście znany i ceniony pedagog i filolog, Antoni Krasnowolski.

Ur. w 1855-ym roku w Swieciu, w Prusiech zachodnich, po ukończeniu szkoły średniej w Chełmnie, studjował w uniwersytecie w Berlinie filologję klasyczną i słowiańską. W r. 1883-im przeniósł się do Królestwa i obrał sobie zawód pedagogiczny, najpierw na prowincji, a od roku 1889-go w Warszawie nauczając w szkołach prywatnych języka łacińskiego niemieckiego i polskiego.

Wykształcony w dobrej szkole filologicznej, Krasnowolski wydał kilka podręczników szkolnych i prac z zakresu nauki języka polskiego, mianowicie: trzy podręczniki, traktujące o składni języka polskiego, „Słownik frazeologiczny, poradnik dla piszących", „Materjały, plany i wzory do ćwiczeń stylistycznych", „Najpospolitsze błędy językowe zdarzające się w mowie i piśmie polskim", dwa podręczniki w zakresie gramatyki polskiej i w. in.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Robotnikowi z Huty. Dzieło Aleksandra Swiętochowskiego „O powstawaniu praw moralnych" uległo wyczerpaniu w handlu księgarskim, więc przysłać Wam go nie możemy. Natomiast polecamy, w zakresie studjów nad moralnością, inną książkę, wydaną nakładem Tow. Kultury Polskiej mianowicie Marjana Guyau: „Moralność bez powinności i sankcji". Kosztuje rubla. Artykuły, co do których autorstwa toczyliście spór z towarzyszem, były istotnie pióra Świętochowskiego.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**
Redaktor: **Aleksander John.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.